

STANISŁAW IGNACY WITKIEWICZ

NIENASYCENIE. CZĘŚĆ
PIERWSZA,
PRZEBUDZENIE

Stanisław Witkiewicz
Nienasycenie. Część
pierwsza, Przebudzenie

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23552810

Nienasycenie. Część pierwsza, Przebudzenie:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Część pierwsza. Przebudzenie	5
Przedmowa	6
Przebudzenie	13
Wieczór u księżnej Ticonderoga	41
Wizyta u Tengiera	67
Конец ознакомительного фрагмента.	87

Stanisław Ignacy Witkiewicz
Nienasycenie. Część
pierwsza, Przebudzenie

Autor prosi o przeczytanie przedmowy

Część pierwsza. Przebudzenie

Poświęcone pamięci Tadeusza Micińskiego

*„Ja, wybierając los mój,
wybrałem szaleństwo.”*

Tadeusz Miciński, W mroku gwiazd

Przedmowa

Nie wchodząc w kwestię, czy powieść jest dziełem sztuki, czy nie – (dla mnie, nie) – poruszyć chcę problemat stosunku powieściopisarza do jego życia i otoczenia. Powieść jest dla mnie przede wszystkim opisaniem trwania pewnego wycinka rzeczywistości – wymyślonego, czy prawdziwego – to obojętne – rzeczywistości w tym znaczeniu, że główną rzeczą w niej jest treść, a nie forma. Nie wyklucza to oczywiście najdzikszej fantastyczności tematu i psychologii występujących osób – chodzi tylko o to, aby czytający był zmuszony wierzyć, że tak właśnie, a nie inaczej było lub być mogło. To wrażenie zależne jest też od sposobu przedstawienia rzeczy, czyli od formy poszczególnych części i zdań i od kompozycji ogólnej, ale elementy artystyczne nie stanowią w powieści całości działającej formalnie bezpośrednio swoją konstrukcją; służą raczej do spotęgowania treści życiowej, do zasugestionowania czytelnikowi poczucia rzeczywistości opisanych ludzi i wypadków. Jednak konstrukcja całości jest czymś według mnie w powieści drugorzędym, co powstaje jako produkt uboczny opisu życia, i co nie powinno z góry wpływać deformująco na rzeczywistość według czysto formalnych wymagań. Lepiej oczywiście, żeby była, ale brak jej nie stanowi zasadniczej wady powieści, w przeciwieństwie do dzieł Sztuki Czystej, gdzie po prostu bez wartości formalnej

całości nie może być mowy o artystycznym wrażeniu, gdzie jeśli jej nie ma, nie ma dzieła sztuki w ogóle, a jest co najwyżej w pewien sposób przetworzona rzeczywistość i chaos niezwiązanych ze sobą czysto formalnych elementów. Dlatego powieść może być wszystkim, w uniezależnieniu od praw kompozycji, począwszy od a-psychologicznej awantury, przedstawionej od zewnątrz, do czegoś, co może graniczyć z traktatem filozoficznym lub społecznym. Oczywiście jednak musi się coś w niej dziać: idee i ich walka muszą być pokazane na ludziach żywych, a nie porozwieszane na manekinach. Jeśli ma być tak, to lepiej napisać broszurę lub traktat. Przekonanie, że powieść musi być koniecznym przedstawieniem ciasnego wycinka życia, przy czym autor, z kłapami koło oczu, jak strachliwy koń, unika wszelkich rzeczywistych i **pozornych** nawet dygresji, wydaje mi się niesłuszne – z wyjątkiem grafomanicznych bzdur i niepotrzebnych nikomu płytkich naświetleń nieciekawych ludzi, wszystko jest usprawiedliwione – nawet największe odstępstwa od „tematu”. Podlizywanie się najniższemu gustowi przeciętnej publiczności i strach przed własnymi myślami lub niechęcią danej kliky, czynią z naszej literatury (z małymi wyjątkami) tę letnią wodę, od której chce się po prostu rzygać. Słusznie twierdzi Antoni Ambrożewicz, że u nas literatura była tylko funkcją walki o niepodległość – z chwilą jej osiągnięcia zdaje się kończyć beznadziejnie. Proszę nie posądzać mnie o megalomanię i chęć wmówienia publiczności, że moje powieści są ideałem, a wszystko inne

głupstwem. Daleki jestem (i to bardzo) od tego. Ale twierdę, że dzisiejsza krytyka, z powodu fałszywego poczucia społecznego obowiązku i chęci nauczania małych cnótek małych ludzi, nie chce widzieć groźnych zagadnień i ich możliwych rozwiązań i stanowczo wpływa hamująco na rozwój w wielkim stylu naszej literatury. Co jest niewygodne, jest przemilczane lub programowo źle zrozumiane i zinterpretowane. Fałsz i tchórzostwo cechuje całe nasze życie literackie, a ci, którzy nawet słusznie rzucają się na różne przykre objawy (np. Słonimski) są bezsilni z powodu braku podstaw pojęciowych i programowego antyintelektualizmu. Niedokształcenie umysłowe większości krytyków, brak u nich jakichkolwiek jednoznacznych systemów pojęć dla wartościowania, brak intelektualnych szkieletów, w połączeniu z produkcją miernoty i zalaniem rynku tłumaczeniami zagranicznej tandety, daje smutny obraz literackiego upadku. Czegóż wymagać od publiczności, jeśli krytyka stoi poniżej jej przeciętnego poziomu. Nie będę walczył tu o idee ogólne z poszczególnymi krytykami (polemika ukaże się w oddzielnej książce pt. *Ostatnia pigułka dla „wrogów”*) – chcę się ograniczyć do jednego problemu: stosunku życia prywatnego autora do jego pracy. We wstępie do *Pożegnania Jesieni* napisałem zdanie, które cytuję tu dosłownie: „To, co pisze drugi mój bardzo przykry „wróg”, Karol Irzykowski, o stosunku krytyki do dzieł sztuki poprzez autora, jest bardzo słuszne. Babranie się w autorze *à propos* jego utworu jest niedyskretne, niestosowne, niedżentelmeńskie. Niestety, każdy

może być narażony na tego rodzaju świństwa. Jest to bardzo nieprzyjemne”. W odpowiedzi na to oświadczenie spotkałem się z następującymi reakcjami na moją powieść. Pan Emil Breiter zatytułował swoją krytykę „pseudo-powieść”, a następnie na końcu zaznaczył, objaśniając niedomyślnym cel tego tytułu, że moja książka jest „spowiedzią”. Przezornie nie dodał słowa „ideowa”, aby móc być dwuznacznie zrozumianym. A więc każdy przeciętny człowiek myśli sobie (i na to liczy p. B., aby mi dokuczyć i zaszkodzić), że po prostu opisuję fakty z mego życia, o którym on, p. B., ma jakieś tajemnicze informacje – a więc: że byłem zgwałcony przez jakiegoś hrabiego „pod kokainą”, że byłem na utrzymaniu u pewnej bogatej Żydówki na Cejlonie, że zakokainowałem niedźwiedzicę w Tatrach itp. Nie posądzą mnie o to, że zostałem rozstrzelany przez komunistów, bo nie ma w Polsce Sowietów i ja niestety żyję i na razie piszę dalej. Potem, na tle takich krytyk i plotek spotykają mnie tego rodzaju powiedzenia: jakaś dama po skończonym portrecie mówi: „tak się pana bałam – myślałam: jak ja wytrzymam godzinę z takim strasznym (!) człowiekiem, jak pan – a pan jest zupełnie normalny i nawet dobrze wychowany”. Matki boją się zamawiać portrety swoich córek w mojej firmie, nawet dorośli mężczyźni siadają z niewyraźnymi minami „na aparat”, tak, jakby się spodziewali, że co najmniej, zamiast rysować, powyrywam im znieścacka zęby lub wykluję oczy ołówkiem. Drugi fakt: Karol Irzykowski (z którego *Walką o treść* załatwię się obszernie w wyżej wspomnianej broszurze) pisze

krytykę najwidoczniej programowo dwuznaczną (używa pojęcia: genialny grafoman – to tak jakby kwadratowe koło, a może gorzej), w której używa słowa „cynizm”, w dość nieokreślonym dla przeciętnego człowieka znaczeniu, a następnie dodaje (on właśnie, o którym napisałem wyżej przytoczone zdanie, na tle jego własnych enuncjacji), że zanadto opieram moją powieść na tle osobistych przeżyć. Skąd ci panowie ośmielają się domyślać takich rzeczy? Czy na podstawie ohydnych plotek, których jestem przedmiotem? Mogą się domyślać – Bóg z nimi – ale pisanie tego w krytykach literackich jest szczytem bezczelności. Mam wrażenie, że jestem w tym wypadku wyjątkiem – o nikim jeszcze nic podobnego nie czytałem. Nie mogę cofnąć wyrażenia użytego poprzednio, ponieważ panowie ci sami się pod nie, że tak powiem, „podstawiają”. Bo przecież realizm jakiegoś opisu nie implikuje bynajmniej kopiowania bezpośrednio danej rzeczywistości – może być dowodem np. talentu realistycznego autora. Ale jeśli chodzi o mnie, to nawet to, co mogłoby być komplementem, zostaje perfidnie odwrócone na zarzut, i to w dodatku czysto osobisty i gołosłowny, a szkodliwy dla mnie życiowo. Jakże to inaczej nazwać, niż ja to uczyniłem? Tym bardziej jest to dziwne, że ani jeden fakt w *Pożegnaniu Jesieni* nie odpowiada rzeczywistości. Chyba panowie ci liczą na to, że autor, w ten sposób oszkalowany przed publicznością, przestanie pisać lub co najmniej straci swobodę wypowiedzania się, ze szkodą dla swej pracy. Do podobnych, ale mniej przykrych objawów, należy robienie pasztetu z dowolnie wybranych

cytat, przy czym wypowiedzenia „bohaterów” pomieszane są umiejętnie ze zdaniem autora, i przedstawianie sfałszowanego w ten sposób tekstu uznane za jego ideologię. Nie chodzi o to, aby być chwalonym, tylko uczciwie zwalczanym – ale nawet o to jest u nas bardzo trudno. „Cóżta z głupim bees gadał”, jak mówił Jan Marduła. Ale lepszy jest nawet głupi, niż świadomie nieuczciwy krytyk. Chciałoby się wierzyć w dobrą wolę przynajmniej, ale i to czasem jest wprost niemożliwe. Nie ma autora, który by nie używał introspekcji i obserwacji innych ludzi dla celów powieściowych. Przecież zdolność wyobrażania sobie stanów urojonych osób lub transpozycji danej rzeczywistości, przy czym niezmiernie mały fakt może wystarczyć jako ośrodek dla krystalizacji całej koncepcji, musi być zasadniczą cechą powieściopisarza. Trudno, żeby ktoś żyjący w pewnej atmosferze nie karmił się nią. Chodzi o to, w jaki sposób użytkowuje ten pokarm. Jest pewna granica wyrażności typów (jakieś szczególne znamiona, jak w pasportach), poza którą daje się w przybliżeniu powiedzieć, że dany autor przedstawia rzeczywiście danego realnego człowieka. Ale na to trzeba przede wszystkim tego chcieć – dla celów jakichś tajemniczych: osobistej zemsty, czy reklamy, albo dla polityki. Zaznaczam, że jest mi to obce w zupełności i że każdą interpretację tego rodzaju, tak w stosunku do mnie, jak i do aktualnej rzeczywistości społecznej, będę uważał za programowe świństwo w stosunku do mnie, w celu szkodenia mi osobiście. Szkoda, że polemika między Kadenem-Bandrowskim, a Irzykowskim na ten właśnie temat,

utknęła w osobistych wymyślaniach, nie rozjaśniając mroków okrywających twórczość pisarską. Jeśli tak dyskutują: największy nasz pisarz obecnie i ten, który uważany jest za największą powagę krytyczną, to dowodzi, że źle się dzieje w naszych literackich sferach.

S. I. W. 4/XII 1929.

Przebudzenie

Genezyp Kapen nie znosił niewoli w żadnej formie – od najwcześniejszego dzieciństwa okazywał wstręt do niej nieprzewyciężony. (Mimo to, jakimś niepojętym cudem wytrzymał ośmioletnią tresurę ojca-despoty. Ale to było czymś w rodzaju nakręcania sprężyny – wiedział, że kiedyś rozkręcić się musi i to go trzymało). Gdy miał zaledwie cztery lata (już wtedy!), błagał matkę i guwernantki na letnich spacerach, aby pozwolono mu choćby pogłaskać jakiegoś kundla, rzucającego się groźnie na łańcuchu lub małego, melancholijnego pieseczka, podwywającego cicho na progu budy – pogłaskać tylko i dać mu coś do zjedzenia, jeśli już nie mogło być mowy o spuszczeniu go z uwięzi na wolność.

Z początku pozwalano mu brać z domu jedzenie dla tych jego nieszczęśliwych przyjaciół. Ale wkrótce mania ta przeszła rozmiary wykonalne nawet w jego warunkach. Zabroniono mu tej przyjemności, jedynej istotnej. Działo się to przeważnie u nich na wsi, w podbeskidzko-tatrzańskim Ludzimierzu. Ale kiedyś, za bytności w regionalnej stolicy K., zaprowadził go ojciec do menażerii. Po bezowocnych prośbach o wypuszczenie z klatek jakichś małp „hamadria”¹, pierwszych zwierząt, które tam zobaczył, rzucił się na dozorcę i bił go długo po brzuchu

¹ małpa „hamadria” – prawdopodobnie *Papio hamadryas*, tj. pawian płaszczowy.
[przypis edytorski]

małymi piąstkami, raniąc się o klamrę paska jego spodni. Na zawsze zapamiętał Zypcio błękit nieba tego sierpniowego dnia, zimny i tak okrutnie obojętny na cierpienia biednych zwierząt. I to rozkoszne słońce, kiedy im (i jemu) było tak źle... A była w tym na dnie jakaś wstrętna przyjemność... Skończyło się spazmatycznym płaczem i ciężkim nerwowym atakiem. Trzy doby prawie nie spał wtedy Genezyp. Dręczyły go potworne koszmary. Widział siebie jako szarą małpę, ocierającą się o klatkę i nie mogącą dostać się do innej podobnej małpy. Ta druga miała coś dziwnego: czerwone to było z niebieskim i okropne nad wyraz. Nie pamiętał, czy widział to naprawdę. Zlanie się w jedno dławiącego bólu w piersiach z przecuciem jakiejś zakazanej, wstrętnej rozkoszy... Tą drugą małpą był również on sam, a jednocześnie patrzył na siebie z boku. Jakim sposobem się to działo, nie pojął nigdy. A potem olbrzymie słonie, leniwe wielkie koty, węże i smutne kondory – wszystkie stały się nim samym i jednocześnie wcale nim nie były. [W rzeczywistości widział tylko przelotnie te stworzenia, kiedy wyprowadzano go innym wyjściem, rzucającego się, w suchych łąkach]. W jakimś dziwnym świecie zabronionych mąk, bolesnego wstydu, ohydnej słodyczy i tajemniczego podniecenia przebywał te trzy dni, leżąc przy tym najwyraźniej w swoim własnym łóżeczku. Kiedy się ocknął po tym wszystkim, słaby był jak flaczek, ale za to nabrał słusznej pogardy do siebie samego i wszelkiej słabości w ogóle. Coś się w nim zacięło przeciw niemu samemu – był to zarodek świadomego tworzenia się siły samej w sobie. Marnotrawny

stryj, zakąta rodziny, rezydent ludzimierski mówi: „Ludzie dobrzy dla zwierząt bywają potworami w stosunku do bliźnich swoich. Zypka trzeba chować ostro – inaczej wyrośnie z niego monstrum”. Tak też chował go później ojciec, nie wierząc zresztą zupełnie w dobre wyniki tej metody – czynił to, z początku szczególnie, jedynie dla własnej satysfakcji. „Znałem dwie panienki z tzw. „dobrego domu”, wychowane w klasztorze – mawiał. – Jedna była k..., a druga zakonnica. A ojciec obu na pewno był ten sam”.

Kiedy Genezyp doszedł do lat siedmiu, objawy tego rodzaju ucichły pozornie zupełnie. Wszystko cofnęło się w głąb. Sponurzał w tym czasie i między innymi oddał się odmiennej od wszystkich zabawie. Chodził teraz na spacer sam lub ze swoim kuzynem Toldziem, który wprowadzał go w nowy świat autoerotycznych perwersji. Straszliwe były to chwile, gdy podniecająca muzyka grała w pobliskim parku, a ukryci w krzakach młodzieńcy rozjątrali się wzajemnie, mówiąc subtelne obrzydliwości i badając różne zapachy. Aż w końcu nieprzytomni, z rozpalonymi policzkami i oczyma skoszonymi od niewyraźnego pożądanego, przytuleni do siebie, wywoływali w swych zdrowych, biednych ciałkach piekielny dreszcz nieznanej, wiecznie tajemniczej, niedosiężnej rozkoszy. Próbowali zgłębiać ją coraz częściej – ale nie mogli. I znowu próbowali – jeszcze częściej. Wychodzili potem z krzaków bladzi, z czerwonymi uszami i oczami, przemykali się jak złodzieje, pełni dziwnego „*malaise*”, prawie bólu,

gdzieś tam... Dziwnie nieprzyjemne robiły na nich wrażenie bawiące się wesoło dziewczynki. Był w tym smutek i strach, i żal czegoś niewiadomego, beznadziejny, okropny, a mimo to przyjemny. Jakaś wyższość plugawa nad wszystkim napełniała ich obrzydliwą dumą. Z pogardą i ukrytym wstydem patrzyli się na innych chłopców, a widok pięknych młodych ludzi, flirtujących z dorosłymi damami napełniał ich nienawiścią, zmieszaną z ponurą, upakarzającą zazdrością, w której jednak krył się urok jakiś niesamowity wywindowania się ponad normalne codzienne życie. Wszystkiemu winien był (potem oczywiście) Toldzio. Ale przedtem był właśnie tym najbliższym, przyjacielem najistotniejszym, który posiadał pierwszy dziwną tajemnicę złowroziej rozkoszy i raczył nauczyć jej Zypka. Ale czemu **potem** tak bardzo nie lubiał go Zypek. Trwało to dwa lata z przerwami. Ale pod koniec drugiego roku przyjaźń ich zaczęła się psuć. Może właśnie dlatego. W tym czasie, w związku z tajemniczymi rozkoszami wystąpiły nowe jakieś objawy... Zypcio przeraził się. Może to jakaś straszna choroba? Może kara za grzech?

W tym czasie również matka, wbrew woli ojca, zaczęła go uczyć religii. O **tym** nie było tam jednak mowy, jako o jednym z grzechów. A mimo to zawsze czuł Zypcio, że, oddając się praktykom Toldzia, popełnia coś dziecinnie „niedźgentelmeńskiego”, coś **złego**. Ale to zło było całkiem innego wymiaru niż nieuczenie się lekcji, gniew na rodziców czy dokuczanie małej siostrzyczce, która zresztą poza tym

nie istniała dla niego zupełnie. Skąd miał to poczucie zła i czemu potem napadał go smutek i wyrzuty sumienia, nie mógł pojąć. Zdecydował się na krok stanowczy: z odwagą skazańca poszedł do ojca i opowiedział o wszystkim. Zbity straszliwie i przerażony gorzej niż biciem perspektywą zidiocenia, zawziął się w sobie i zaprzestał ohydneho procederu. Cenił bowiem w sobie ten rozum, który w dyskusjach przyrodniczych nad tajemnicami natury stawiał go ponad rówieśnikami, a nawet ponad przewrotnym, starszym o rok Toldziem, który do tego jeszcze był hrabią, – on zaś sam tylko baronem i to „podejrzany”, jak się od niego właśnie dowiedział.

Rozpoczął się okres zdrowego zbydlęcenia. Bitwy, gonitwy, sport we wszystkich odmianach wypędził z jego duszy wspomnienie ciekawych jednak mimo wszystko z „przyrodniczego punktu widzenia” (?) zjawisk. Ojciec nie podał bowiem wystarczającej ich teorii. Ale mania uwalniania uwięzionych psów wróciła ze zdwojoną siłą. Teraz było to połączone ze sportem – było też szlachetną próbą odwagi. Często wracał do domu pokąsany, z podartym ubraniem, wytarzany w błocie. Raz dwa tygodnie chodzić musiał z ręką na temblaku, co popsuło pewną serię szalenie istotnych bitew z przeciwną partią „młodoturków”. Wypadek ten osłabił w nim trochę zapał w tym kierunku. Coraz rzadziej odbywał swoje oswobodzicielskie wyprawy, ale przecie. A działo się to zawsze wtedy, kiedy by skądinąd miał ochotę właśnie na co innego... Czynności zastępcze.

Nadszedł tak zwany okres sublimacji. Ale brutalnie przecięła go szkoła. Zabójcza dla pewnych natur (bardzo zresztą nielicznych) przymusowa, prawie mechaniczna praca, zniechęcająca raczej do nauki, niż podniecająca zainteresowanie się jej tajemnicami, przerwała ten najlepszy czas w życiu chłopca, kiedy to przecucia nieznanego łączą się z budzącymi się sentymentami do pańienek (raczej do „tej jednej, jedynej”), stwarzając opar nieuświadomionej metafizycznej dziwaczności (jeszcze nie dziwności) ponad zwykłym codziennym życiem. Zycio, mimo notorycznych zdolności, uczył się ciężko. Przymus niszczył w nim wszelki spontaniczny zapał. Całą zimę uginał się wprost duchowo pod ciężarem pracy, a krótkie wakacje na wsi wypełnione były również obowiązkowym teraz sportem i wiejskimi rozrywkami. Prócz wyznaczonych mu na ten cel rówieśników nie widywał nikogo i nigdzie w okolicy nie „bywał”. Kiedy ku jesieni zaczynał się już trochę odginać, przychodziło znowu to samo i tak dotrwał do matury.

Przysiągł ojcu, że przyjedzie wprost z egzaminu na wieś i przysięgi dochował. Uniknął w ten sposób bydlęcych pomaturycznych uroczystości i czysty i niewinny, ale z poczuciem piekielnych możliwości życiowych, zajechał przed dwór – tak zwany pałac rodzicielski, stojący w podgórskiej okolicy niedaleko Ludzimierza. Tu dopiero się zaczęło.

Informacja: Jak wiadomo, już przed szkołą uświadomił sobie, że jest baronem i że jego ojciec, właściciel olbrzymiego browaru, jest nie to, co matka, hrabianka

z przymieszką krwi węgierskiej. Przeszedł krótki okres snobizmu, ale pozbawionego zupełnego zadowolenia: niby po matce wszystko było dobrze – jakieś bohaterzy, mongoły, dzikie rzezie za Władysława IV – ale przodkowie papy nie nasycili jego ambicji. Dlatego, wiedziony szczęśliwym instynktem, już od klasy czwartej (do trzeciej poszedł do szkoły) stał się demokratą i zlekceważył ten niedoskonały kompleks swego pochodzenia. To zjednało mu wiele uznania, pozwalając pewne poniżenie odwrócić na wartości pozytywne. Był rad z tego wynalazku.

Zbudził się po krótkim śnie popołudniowym. Zbudził się nie tylko z tego snu, ale i z tamtego, który trwał pięć lat. Od bydlęcych czasów walk dziecinnych oddzielała go pustynia. Jakże żałował, że tak nie mogło trwać wiecznie! Ta ważność wszystkiego, jedyność i konieczność, przy jednoczesnym poczuciu, że to nie jest na serio na tym planie rzeczywistości – i wynikająca stąd lekkość i beztraska, nawet w obliczu klęski przegranych bitew. Już nigdy...! Ale to, co być miało, zdawało się jeszcze ciekawszym, o – o wiele – o nieskończoność! Inny świat. I nie wiadomo czemu wspomnienie dziecinnych perwersji przesunęło się teraz z całkowitym ciężarem wyrzutu za te „zbrodnie”, jakby rzeczywiście one to „zawazały” na całym przyszłym życiu. Może i tak w istocie było. Po latach zachciało mu się tego samego, ale się wstrzymał. Wstrzymał go wstyd wobec nieznanego mu jeszcze kobiet. Nieznanego do głębi, bo przecie właśnie wczoraj...

Informacja: Na stacji trzymany był w kolczastej

dyscyplinie, a na wakacjach – ha – to towarzystwo wiecznie nie to, jakiego by pragnął. Słyszał jednak coś niecoś od kolegów, którzy łyknęli więcej rzeczywistości od niego. Ale **to** nie było najważniejszym.

Więc jednak **wszystko jest**. Skonstatowanie tego nie było tak banalnym, jakby się to zdawać mogło. Podświadoma, zwierzęca ontologia, przeważnie animistyczna, niczym jest wobec pierwszego błysku ontologii pojęciowej, pierwszego ogólnego egzystencjonalnego sądu. Sam fakt istnienia nie przedstawiał dotąd dla niego nic dziwnego. Pierwszy raz teraz zrozumiał przepaścistą niezgłębialność tego problemu. Zamajaczyło mu w jakimś po dziecinnemu zaczarowanym i po dziecinnemu złotym, prześwieتلonym w pyłe nieziemskiej tęsknoty, świecie najlepszych, niepowrotnych dni, najdawniejsze dzieciństwo: pałac rodziny matki we Wschodniej Galicji i obłok, jakby rozżarzony do białości, pod którym czała się burza i żaby kumkające w gliniankach koło cegielni i zgrzyt zardzewiałej studni. Przypomniął się też wierszyk pewnego kolegi, z którym nie pozwolono mu się bawić.

„O dziwne, ciche, letnie popołudnia
I pełne głębi soczystych owoce,
W cieniu chłodnym zapomniana studnia,
Potem obłędne wieczory i noce...”

To właśnie wyrażał dla niego ten marny wierszyk, **to**: ogrom życia i niepojętość każdej jego chwili i nudę straszną,

i tęsknotę za czymś nieobjęcie wielkim. Ale to teraz dopiero pojął dokładnie. Wtedy, gdy po raz pierwszy czytał mu Ptaś tę bzdurkę, w wychodku szkolnym, nie wyrażała ona jeszcze nic. Przeszłość rozświetlała się w błyskawicy objawienia terażniejszości, jak inny, nieznaną dotąd świat. Trwało to jakiś ułamek sekundy i zapadło znowu, wraz ze wspomnieniem, w tajemnicze gąszczu podświadomości. Wstał, zbliżył się do okna i oparł głowę o szybę.

Wielkie, żółte zimowe słońce zniżało się szybko, prawie trącając rozdwojony szczyt Wielkiego Pagóra. Oślepiające światło stapało wszystko w rozedrganą masę rozpalonego złota i miedzi. – Fioletowe cienie wydłużały się niepomiernie, a las w pobliżu słońca mienił się czarną purpurą, zmieniającą się co chwila w wybladłą, ośleptą zieleń. Ziemia nie była miejscem codziennego dnia, tym, co o niej i o jej stosunku do ludzkiego świata wiadomo – była planetą, widzianą z teleskopowych jakby odległości. Zębatym, rzeźbionym zrębem gór, wznoszących się na lewo, daleko za połogimi stokami Wielkiego Pagóra, zdawała się przechylać ku nadciągającej z międzygwiazdnych przestrzeni, nie wiadomo czemu „żałobnej” nocy. Słońce, teraz już wyraźnie ruchome, stawało się czasem czarno-zielonym krążkiem o złotoczerwonej obwódce. Nagle dotknęło się lęklwym, ociągającym się jakby, ruchem, rozszczepionej w krwawe ostrza linii dalekich lasów. Czerwono-czarny aksamit zmienił się w granat, kiedy ostatni promień, rozszczepiony na tęczowy snop prześwietlił się po raz ostatni przez ciężkie zwały

świerków. W nieskończoność rzucone spojrzenie, ciągnięte oślepiającym blaskiem, napotkało twardy opór mrocznego, nieskończenie bardziej rzeczywistego świata. Genezyp uczył coś w rodzaju głuchego bólu w piersiach. Minęła dziwna chwila pojmowania tajemnicy i realna pospolitość ukazała spod tej maski swoje szare i pełne nudy oblicze. Co zrobić z dzisiejszym wieczorem? Pytanie to przypomniało mu poprzednie i zamyślił się głęboko, tak głęboko, że stracił zupełnie poczucie chwili obecnej. Nie wiedział, że to właśnie jest czasem najwyższym szczęściem.

Księżna stanęła mu (stanęła dęba) w wyobraźni jak żywa. Ale obraz ten nie był odbiciem wczorajszej rzeczywistości. Przypomniały się nieprzyzwoite sztychy widziane w bibliotece jakiegoś przyjaciela ojca, gdy skorzystał z nieuwagi tych panów i zajął do niedomkniętej szuflady. Zobaczył, jak na jakimś bezwstydnym wizerunku nagą jej postać, oblaną potokiem ciemno-rudych włosów. Kolisty szereg małych złowieszczco uśmiechniętych, które spacerowały koło niej z wyuzdanym wdziękiem (każda z nich trzymała małe eliptyczne lusterko) był najwyraźniej ucieleśnieniem pewnego rysunku koncentrycznych kółek, mających symbolizować sfery życiowe według ich ważności. Czyżby to było właśnie to najistotniejsze kółko środkowe? Zarysowały się dwa niewspółmierne punkty widzenia i płynący stąd męczący rozdział. Brutalnie można to było ująć jako: idealizm programowy ojca i chęć użycia zakazanych przyjemności, co wiązało się nieznanym sposobem

z matką. Prawie fizycznie czuł to Genezyp w piersiach i w dołku. Przed chwilą tego nie było, a teraz cała przeszłość i pobyt w szkole i dzieciństwo, stały się dalekie, złączone w nierozdzieloną całość – negatywnie jedynie, przez brak rozwiązania nowopowstałego, niepochwytneho problemu. Tajemnica rzeczywistego rozstrzygnięcia kwestii tych była dla niego zawsze – od czasu uświadomienia – czymś niepokojącym i złowrogim. Niezdrowa (czemu nie zdrowa do pioruna!?) ciekawość załała go jakby jakąś ciepłą, obrzydliwie przyjemną mazią. Wzdrygnął się i nagle teraz dopiero przypomniał sobie tylko co prześniony sen. Usłyszał głos czyjś w otchłani bezosobowego **wzroku**, wpijającego się w niego z zabójczym pytaniem, na które odpowiedzi znaleźć nie mógł. Czuł się tak, jak gdyby nie obkuł się dostatecznie do egzaminu. A głos ten mówił szybko, bełkotliwie – było to zdanie z tego snu: „mieduwalszczycy skarmią na widok czarnego beata, buwaja piecyty”. Objęły go żelazne ręce i uczył pod żebrami ból łaskotliwy. To było to nieprzyjemne uczucie, z którym się zbudził, a którego określić nie mógł. [I czy warto wszystko to przeżywać i wgłębiać się w to i rozbebeszać, na to, aby potem... brrr – ale o tym później].

Prawie z radością spostrzegł **teraz dopiero na pamięciowym obrazie** włochatego pyska muzyka Tengiera (którego poznał wczoraj wieczorem) to samo zagadkowe rozdwojenie, które sam teraz wewnętrznie przeżywał. Skrępowana siła, widna jak na dłoni w oczach tamtego samca, wytwarzała niemożliwe

ciśnienia. Słowa jego, słyszane wczoraj (i niezrozumiane), stały się nagle jasne w całości, jako niezanalizowana masa, raczej tylko ich ton ogólny. O sensie pojęciowym nie było nawet mowy. Dwoisty sens życia dudniał głucho pod skorupą konwencjonalnych „szkolnych” tajemnic. Tę to skorupę rozrywały bezsensowne wyrazy:

„Niech się stanie wszystko. Wszystko zdołam objąć, pokonać, zgryźć i strawić: wszelką nudę i najgorsze nieszczęście. Dlaczego **tak** myślę? Jest to zupełnie banalne i gdyby mi ktoś dawał takie rady, wyśmiałbym go. A teraz mówię to sam sobie jak najgłębszą prawdę, najistotniejszą nowość”. Wczoraj jeszcze słowa te miałyby inne, zwykłe znaczenie – dziś zdawały się symbolem nowych, jakby w zupełnie innym wymiarze roztwierających się horyzontów. Tajemnica urodzenia i niewyobrażalności świata bez przyjęcia własnego „ja” były jedynymi świetlistymi punktami mrocznego szeregu chwil. Tak się wszystko pokiełbało. I po co? Kiedy koniec miał być tak... – ale o tym później. Jeszcze wczoraj cała niedawna młodość rysowała się z wyrazistością nadmierną, jak żywa, stojąca się bez ustanku terażniejszość. Podział jej nieskończenie drobny uniemożliwiał utworzenie epok, mimo (obecnie pozornie) epokowych zdarzeń. Teraz tajemnym wyrokiem zciemniona i oddalona, zapadała cała ta „wielka” (?) połać życia w jakąś sferę niezmienności i ukończenia, nabierając przez to znikomego, nieuchwytnego uroku po raz pierwszy tragicznie odczuwanej bezpowrotności przeszłości. Na tym niespokojnym

falowaniu zmian, zachodzących jakby w samym medium, w którym odbywało się dawne życie, zmian, które pozostawiały wszystko absolutnie tym samym, a jednak niewspółmiernym ze sobą wczorajszym, sen tylko co przypomniany występował jak płatanina ostra, ciemna, i wyrazista w sylwecie, a zagmatwana wewnątrz, na obojętnym, wodnisto-przeźroczym, pustką świecącym ekranie terażniejszości. Błyskawiczne rozstąpienie perspektyw, jak kiedy wzrok zmęczony widzi nagle wszystko niezmiernie dalekim, małym i niedosiężnym, a jeden jakiś przedmiot zachowuje naturalną wielkość, przy czym fakt ten nie zmienia jakimś tajemniczym sposobem ogólnej, dającej się łatwo skonstatować, obiektywnej wzajemnej proporcji części w całym polu widzenia. [Zaburzenia w ocenianiu odległości, widzenie przedmiotów w ich rzeczywistej pozornej wielkości, bez współczynnika uświadamianego dystansu, zmieniającego na tle możliwych wrażeń dotykowych, wrażenie bezpośrednie stosunków przestrzennych w dwóch wymiarach. – Mniejsza o to].

Genezyp zaczął przypominać sobie sen w odwrotnym porządku w stosunku do jego naturalnego przebiegu. [Bo sen przecie nigdy nie jest przeżywany bezpośrednio aktualnie w chwili swego śnienia się – **istnieje tylko i jedynie jako wspomnienie**. Stąd dziwny charakter specyficzny najpospolitszej jego treści. Dlatego to wspomnienia, których dokładnie zlokalizować w przeszłości nie możemy, przyjmując to właśnie specjalne zabarwienie sennych marzeń]. Z głębi

tajemniczej urojonego świata powstawał szereg zdarzeń pozornie wątych i nikłych, niby do niczyjej pamięci nie należących, a tak jego, Genezypa, własnych i mocnych jakąś zaświatową mocą, że zdawały się, mimo swej jednoczesnej nikłości, rzucać cień groźny, pełen przeczuc i wyrzutów za niespełnione winy na terazniejszą chwilę pomaturycznej beztroski i złocistego blasku gasnącego wśród purpurowych lasów zimowego słońca. „Krew” – wyszeptał i jednocześnie z wizją czerwonej barwy doznał gwałtownego ściśnięcia serca. Ujrzał ostatnie ogniwo popełnionej zbrodni i dalej jeszcze, tajemniczy jej początek, gubiący się w czarnej nicości sennego niebytu. „Skąd krew – kiedy we śnie jej wcale nie było” – spytał sam siebie półgłosem. W tej chwili zgasło słońce. Tylko las na stoku Wielkiego Pagóra świecił na blado-pomarańczowym niebie postrzępioną piłą złocisto gorejących strzał. Świat popielał w niebieskawo-fioletowej pomroce, a niebo wyjaśniało się krótkotrwałą, płomienistą zimową zorzą, w której jak zielona iskra migotała zachodząca Wenus. Sen występował coraz wyraźniej w swojej anegdotycznej treści, a treść jego istotna, nieuchwytna i niewyraźna, zatracala się w konkretności wspomnianych wydarzeń, dając ledwie znać o jakimś drugim, niedościgłym, znikającym na krańcach świadomości, życiu.

Sen: Szedł jakąś ulicą w nieznanym mieście, przypominającym stolicę i jeszcze jakieś w przelocie widziane włoskie miasteczko. W pewnej chwili spostrzegł, że nie jest sam i że, prócz obowiązkowego w snach kuzyna Toldzia, idzie

z nim jakiś nieznany mu, wysoki i barczysty drab z ciemno-blond brodą. Chciał zobaczyć jego twarz, ale zawsze znikła mu ona w dziwny, a jednak w śnie zupełnie naturalny sposób, gdy tylko na nią spojrzął. Widział jedynie brodę i ona to stanowiła właściwie zasadniczą treść nieznanego „typa”. Weszli do małej kawiarni na parterze. Nieznajomy stanął we drzwiach przeciwległych i przyzywać zaczął Genezypa nieznacznymi ruchami. Zycio uczuł nieprzewyższoną chęć pójścia za nim do dalszych pokoi. Toldzio uśmiechał się wszechwiedzącym ironicznym uśmieszkiem, jakby dobrze wiedział o tym, co nastąpić miało i o czym dobrze jakoby wiedział, a jednak nie wiedział nic naprawdę sam Genezyp. Wstał i wyszedł za nieznanym. Tam był pokój o suficie niskim, skłębionym w chwiejne kształty gęstego dymu. Nad nimi przestrzeń zdawała się niezmierna. Nieznajomy zbliżył się do Zycia i począł go ścisnąć z jakąś niemiłą serdecznością. „Jestem twoim bratem – imię moje jest Jaguary” – wyszeptał mu cicho w samo ucho, co było połączone z piekielną łaskotką. Już miał się Zycio (tak go nazywano w domu), zbudzić, ale wytrzymał. Uczuł za to wstręt nieprzewyższony. Chwycił nieznanego za szyję i począł go giąć ku ziemi, dusząc go jednocześnie ze wszystkich sił. Coś (już nie ktoś), jakaś masa miękka i bezwładna, zwała się na podłogę, a na nią upadł Zycio. Zbrodnia została dokonana. Czuł przy tym, że Toldzio widzi w nim dokładnie zupełny brak wyrzutów i jedyne wyraźne uczucie: chęć wymigania się z trudnej sytuacji. Zycio, który mówił Toldziowi coś niezrozumiałego, podszedł

znowu do trupa. Twarz była teraz widoczna, ale był to raczej jeden wielki, potwornie bezkształtny siniec, a na szyi, koło **przekłętej brody**, widać było wyraźnie czerwono-sine pręgi od zaciśniętych poprzednio palców. „Jeśli mnie skazą na rok – wytrzymam – jeśli na pięć – koniec” – pomyślał Zypcio i wyszedł do trzeciego pokoju, chcąc się wydostać drugą stroną domu na ulicę. Ale pokój ten pełen był żandarmów i zbrodniarz z przerażeniem poznał w jednym z nich swoją matkę, przebraną w szary hełm i żandarmski szynel. „Podaj prośbę” – mówiła szybko. – „Szef ciebie wysłucha”. I podała mu duży papier. W środku kursywą wydrukowane było zdanie, które we śnie pełne było jakiejś potwornej grozy, a jednocześnie jedynej nadziei. A teraz, wydobyte z trudem z zapadających w mrok niepamięci wspomnień, miało tylko charakter niezdarne baliwernu:

„Mieduwalszczycy skarmią na widok czarnego beata, buwaja piecisty”. Koniec snu.

Mrok stawał się gęstszym, a niebo przybierało głęboki, fijołkowy ton, zdający się bezpośrednio utożsamiać z zapachem nieznanego z nazwiska perfum księżnej Ticonderoga, mistrzyni wczorajszego wieczoru. (Potem dowiedział się Zypcio, że była to słynna „*Femelle enragée*” Fontassiniego). Patrząc na zapalające się gwiazdy doznawał wrażenia przykrych pustki. Poprzedni stan: sen zbrodniczy i poczucie jakiegoś niewyczerpanego bogactwa w sobie i poza sobą – wszystko znikło bez śladu. Coś przeszło jak cień, zostawiając nudę, niepokój i jakiś niemiły, nie dający się przemienić na nic wznioślejszego, pozbawiony uroku smutek.

Pozornie nie zmieniło się nic, a jednak Zypcio wiedział, że zaszło coś niezmiernie ważnego, coś, co może zdecydować o całym jego dalszym życiu. Stan ten był nieściśliwy, opierał się wszelkim wysiłkom zrozumienia – był to blok bez skazy [I czy warto zajmować się tak sobą, żeby potem... A! Ale o tym nie teraz]. Nieznany rachmistrz pomnożył wszystko przez jakiś współczynnik nieokreślonej wielkości. Czemu wszystko jest takie dziwne? Stan metafizyczny bez formy. A tu tak: w Boga nie mógł uwierzyć nigdy (choć zdaje się, że matka właśnie o tym mówiła z nim dawno, dawno temu – nie o Bogu samym jakby, tylko o dziwności. „...Wierzę w Boga, ale innego, niż ten, który jest przedstawiony w dogmatach naszego Kościoła. Bóg jest wszystkim i nie rządzi światem, tylko samym sobą w sobie”). Wtedy to doznał Zypcio uczucia, że świat cały (jako Bóg), jest tylko błękitną wklęsłością chińskiej filiżanki, takiej, jakich szereg stał na dębowym kredensie w jadalni ich domu. Wrażenie to było czymś „*intraductible, irreductible, intransmissible et par excellence irrationnel*”. Trudno. Chrystus był dla niego tylko czarownikiem. Mówił o tym niance swojej w siódmym roku życia i tym doprowadzał staruszkę do rozpacz. Wiara matki przemawiała mu bardziej do przekonania i czuł, że nikogo tak bliskiego mu jak ona w najtajniejszych myślach jego nigdy w życiu mieć już nie będzie. A jednak był między nimi jakiś mur nieprzekraczalny, nawet w najlepszych chwilach. Ojciec, straszny w gniewie i na zimno nieugięty w spokoju, napawał go bezdennym strachem. Wiedział, że razem z matką walczą

przeciw jakiejś złej potędze życia, po stronie której jednak zawsze jest słuszość. Chciał teraz pójść do matki i poskarżyć się przed nią, że sny są straszne i że w życiu kryją się zasadzki okropne, w które on, bezbronny i niedoświadczony, mimo całej siły, czy prędzej czy później wpaść musi. Gwałtownym nawrotem ambicji pokonał tę słabość i z męską stanowczością obliczył szybko swoje dane: ma lat 18 skończonych – jest stary, bardzo stary – 20 lat to przecie starość zupełna. Tajemnicę poznać musi i pozna – w małych kawałkach, po kolei, powoli – trudno. Bać się nie będzie niczego, zwycięży wszystko, albo oczywiście zginie i to z honorem. Tylko po co, w imię czego to wszystko robić? Ogarnęło go nagłe zniechęcenie. Zdanie, to bez sensu dla świata tego, nabierało znaczenia jakiegoś tajemniczego zaklęcia, którym wszystko rozwiązać by można. Szybko zapadał mrok i tylko resztki światła zorzy odbijały się w szklach obrazów, wiszących na ścianie. I nagle tajemnica snu tego i erotycznej przyszłości stała się tajemnicą wszystkiego – ogarnęła świat cały i jego samego. Nie była to już niezrozumiałość każdej chwili życia z osobna – była to niedocieczona tajemnica całego wszechświata, Boga i wklęsłości niebieskiej filizanki. Ale znowu nie jako problem wiary czy niewiary, postawiony na zimno. Wszystko to żyło i działało się jednocześnie, a przy tym marzło w nieruchomości absolutnej, zamierało w oczekiwaniu jakiegoś cudu nie do pomyślenia, objawienia ostatecznego, poza którym nie byłoby już nic – chyba sama najdoskonalsza, najcudowniejsza, nie dająca się w żaden sposób wyobrazić

Nicość. W takiej to chwili przestał już raz wierzyć tą wymuszoną wiarą, którą wzbudzał w sobie sztucznie przed egzaminami – na żądanie matki – religia nie była przedmiotem obowiązkowym. A zresztą usymbolizowana w niebieskiej filizance wiara matki daleka była od przekonań miejscowego wikarego. Trudno było założyć własną sektę – już nawet tego odechciało się wszystkim. Objawienie zawiodło definitywnie. Odtąd wszystkie religijne praktyki stały się programowym kłamstwem, które zawdzięczał matce – nie mogła dać mu wiary nawet ona – ta jedynie naprawdę ukochana istota. Był to dysonans, który kiedyś w przyszłości również przeważał pewną małą, pozornie mało ważną szalkę. Mimo całej notorycznej cnoty matki, wiedział Zycio, że kryją się w niej jakieś niezbadane otchłanie, związane z tą ciemną stroną życia, na którą teraz on sam z wolna nieznacznie się prześlizgiwał. I za to pogardał trochę matką, ukrywając to sam przed sobą. Wiedział, że bliższej istoty nad nią w życiu mieć nie będzie, wiedział również, że musi ją wkrótce utracić i do tego ta pogarda! Nic, psia-krew, nie działało się po prostu – wszystko było pokłębione, poplątane, skiełbaszone, jak naumyślnie przyprawiona przez złego ducha piekielna życiowa sałatka. Teraz mu się tak wydawało – a cóż dopiero później! Chociaż może z pewnego punktu widzenia uprościły się potem pewne rzeczy przez to nieznaczne życiowe ześwinienie, któremu chyba jedynie Święci nie podlegają. Bo czy miał prawo nią pogardzać? Jednocześnie dwóch sprzecznych uczuć: dzikiego przywiązania i pogardy, podnosiła całość tego układu do wyżyn

nieprawdopodobnego szaleństwa. A jednocześnie wszystko stało w miejscu i nie zmieniało się nic. Przerwać tę wewnętrzną tamę, oddzielającą go od niego samego, zburzyć wszystkie zastawki, rozwalić płotki sztucznie odgraniczające półka szkolnej nauzki! Och – czemuż spał tyle czasu! A przy tym dziwnie doświadczona (jak jemu samemu się zdawało) myśl, że w ten sposób (to znaczy na tle takiej przeszłości, jak jego) użyje dwa, trzy, cztery razy silniej... Ale czego? Życie jako takie prawie jeszcze nie istniało dla niego. I wstyd przy tym taki za tę myśl – nigdy tego właśnie matce nie powie, nigdy, przenigdy. Zatrzeszczały stare parkiety w przyległym pokoju i dziecinny straszek zmieszał się w rozkoszny melanz z rodzącą się męską odwagą. Teraz dopiero uświadomił sobie Genezyp, że już przeszło 24 godziny upłynęły od przyjazdu.

Informacja. – Matura odbyła się w zimie. W obawie przed wojną rok szkolny zakończono w lutym. Potrzeba było na gwałt oficerów. W marcu wszyscy spodziewali się nadzwyczajnych wypadków.

Awangardy chińskich komunistów stały już na Uralu – o krok jeden od tonącej w kontrrewolucyjnych rzeziach Moskwy. Omamieni manifestami cara Kiryła chłopci mścili się potwornie za mimo woli wyrządzone im konieczne zło (– wyrządzone z poczuciem spełnionego dobra –) nie wiedząc, że gotują sobie los stokroć gorszy jeszcze.

Stary Kapen coraz bardziej tracił pod sobą grunt dawnego życia. Nawet nie mógł już być tak srogim jak dawniej, mimo

że srogość tę z powodzeniem udawał. Widział już wizyjnie potoki, rzeki, morza całe swego świętego ludźmierskiego piwa, skanalizowane, w określonych kierunkach, znacjonalizowane, zsocjalizowane, – zakłady bez możliwości rozwoju różnych dodatkowych „tricków”, których sam tyle wprowadził, dostawszy po swym ojcu browar w stanie tak pierwotnym, że przypominał raczej coś samorzutnie z ziemi wyrosłego niż pracę rąk i mózgu człowieka. Nudne to było jak piła. Trzeba to było załatwić jakimś „wyczynem” (?), w którym by przerósł mógł samego siebie i uprzedzić dowolnością swego postępowania możliwy przymus sił wyższych.

Zycio pomyślał o ojcu z niemiłym dreszczykiem w plecach. Czy skończy się wreszcie ta straszliwa władza nad nim, którą znosił już lat 12 świadomie? (Reszta mąk tonęła w mroczniejącym okresie wczesnego dzieciństwa). Czy potrafi przeciwstawić się w sposób ciągły tej łamiącej w nim każdy samodzielny odruch potędze? Wczorajsze doświadczenie w tym kierunku pozostawiło go wewnątrznie rozdartym, niezdecydowanym. Tak więc zaraz na wstępie oświadczył Genezyp papie, że piwem zajmować się nie będzie, że na politechnikę nie pójdzie i że we wrześniu, o ile wojna nie wybuchnie, zapisze się i pójdzie na wydział literatur zachodnich, do czego już zaczął się w ostatnich miesiącach szkoły gotować. Literatura miała zastąpić w idealnym wymiarze męczącą różnorodność życia – przy pomocy niej można było połączyć wszystko, nie trując się i nie stając się świnia. Tak sobie myślał

nieświadomy swoich losów naiwny przyszły adiutant Naczelnego Wodza. Odpowiedzią ojca, mimo całej niewiary w przyszłość, był lekki apoplektyczny atak. Stary nie miał jeszcze jasnej koncepcji co do przyszłości tego ciamkacza – było to w związku z ostatnimi wypadkami i przemianami wewnętrznymi – ale sam fakt synowskiego nieposłuszeństwa mało go nie udusił, jakby jakaś materialna wroga osobistość. Genezyp zniósł to ze stałością godną marabuta. Życie ojca przestało go nagle interesować. Był to obcy jakiś człowiek, zawalający mu drogę, sprzeciwiający się jego najistotniejszemu przeznaczeniu. Po tej scenie ubrał się pierwszy raz we фрак (atak nastąpił o siódmej wieczorem – było ciemno już i zadymka szalała wokół ludzimierskiego dworu) i o dziewiątej pojechał saniami na bal do księżnej Ticonderoga. Teraz twarz jej mignęła mu wśród zwojów piwnej nudy, którą odtrącił na zawsze. „Tylko nie stać się figurą z powieści o nieokreślonym człowieku” – wyszeptał Genezyp twardo podczas drogi. Działo się to na małej polance, która kilka razy miała jeszcze odegrać rolę miejsca przemian istotnych. Szepecząc tak nie rozumiał dobrze znaczenia słów własnych – za mało miał doświadczenia. Nieomylny instynkt samoobrony (głos Dajmoniona) działał niezależnie od inteligencji, ale w jej rejonach. Twarz księżnej – nie, raczej maska zdjęta z twarzy tej w chwili maksymalnego napięcia płciowego szału – oto był ten tajemniczy cyferblat, na którym miała ukazać się godzina próby i rodzaj przeznaczenia w jakichś jemu tylko wiadomych znakach. Już coś widział tam przecie, coś majaczącego się. Jak odcyfrować

te symbole, jak tu się nie pomylić, nie wiedząc dosłownie nic.

Informacja: Wojna antykomunistyczna stworzyła dziwnie paradoksalny stan wszystkich narodów, które wzięły w niej udział. Teraz wszyscy uczestnicy mieli chroniczną rewolucję bolszewicką u siebie, a w Moskwie właśnie „szalał” Biały Terror z byłym Wielkim Księciem, a obecnie „Carem” Kiryłem na czele. Polska za cenę straszliwych pozornych wysiłków paru ludzi (jednym z nich był obecny minister Spraw Wewnętrznych Dyament Kołdryk) (w istocie zupełnie coś innego wpłynęło na powodzenie ich słynnej misji) zachowała neutralność i nie przyjęła udziału w przeciw-bolszewickiej krucjacie. Wskutek tego nie miała jeszcze u siebie rewolucji. Jakim cudem wszystko trzymało się jak na włosku, nikt na razie powiedzieć nie umiał. Wszyscy czekali teoretycznego przynajmniej rozwiązania tego problemu od uczniów szkoły profesora Smolo-Paluchowskiego, twórcy „podwójnego systemu wartościowań społecznych”. Przekonał się on bowiem, że uczony socjolog dzisiejszy, nie starający się o świadomy dualizm, jako wstęp do dalszego, świńskiego po prostu pluralizmu, mógł być tylko „*une dupe des illusions*” obiektywizmu i wyrażać jedynie steoretyzowaną magmę poglądów danego społecznego odłamu. Istotą praktyczną tego systemu, który właśnie uczniowie ci szeroko rozbabrali, była naukowa organizacja pracy – rzecz nudna sama w sobie jak opowiadania starca o dawnych dobrych czasach. Dzięki niej jednak trzymało się wszystko w jakiej takiej kupie, ponieważ ludzie, ogłupiali mechanicznością swych czynów, przestawali

powoli rozumieć, w imię czego je spełniali, utożsamiając się między sobą w „opupieniu” i bezideowości. Szła jakoś praca, ale co to było *au fonds des fonds*, nikt nie wiedział. Idea państwowości **jako takiej** (i innych wynikających stąd złudzeń) dawno przestała być wystarczającym motorem najprostszycy nawet poświęceń i rezygnacji z indywidualnej świnowatości. A jednak wszystko szło jakąś tajemniczą inercją, której źródła daremnie doszukać się chcieli ideolodzy **pozornie** rządzącej partii: Syndykatu Zbawienia Narodowego. Wszystko działa się **pozornie** – to było istotą epoki. Kobiety na tym szybko amerykańzującym się gruncie swoistego prymitywu inteligentniały przerażająco, w stosunku do ogłupionych pracą mężczyzn. Rzadka u nas dawniej „*précieuse'a*” spadła w cenie wskutek ogromnej podaży – to prawda – pojedynczo tak. Ale masa ich nadawała umysłowy ton życiu całego kraju. Pozorni ludzie, pozorna praca, pozorny kraj – przewaga bab nie była pozorną. Był jeden człowiek: Kocmołuchowicz – ale o tym później. A do tego skomunizowani Chińczycy tuż za bezwładną, zdezorganizowaną, wyludnioną Rosją. „Doczekaliśmy się” – powtarzali drżąc ze strachu i wściekłości różni ludzie, lubiący choć trochę dobrobyt. Ale na dnie cieszyli się bardzo, choć nieszczerze. Oni zawsze mówili, że tak się stanie. „Bo żebyśmy nie mówili...” I co z tego?

Teraz po przebudzeniu się wczorajszy wieczór wyrósł Zypciowi ponad niego samego jak złowrogi nierówny, czarny miraż, piętrząc się z drugiej strony dawnego, sennego życia,

wylewając się w zdeformowanych kształtach do tej jego połowy, czy w ogóle części, która zaczynała się właśnie na tle najdziwniejszych przemian dziejowych, porównywalnych jedynie z samym początkiem rewolucji rosyjskiej. Tamto było „*declanchement*” – teraz naprawdę ludzkość przewalała się na drugą stronę swej historii. Upadek Rzymu, Rewolucja Francuska zdawały się dziecinnymi igraszkami wobec tego, co miało nastąpić teraz. Teraz – ta właśnie chwilka, która ucieka i nie wróci – ta chwilka wyciśnięta asymptotycznie przez pokrywające się ogonami i głowami skończone w czasie zdarzenia metodą Whiteheada. „Teraźniejszość jest jak rana – chyba żeby zapełnić ją rozkoszą, to może...” – tak mówiła z niewinnym uśmiechem księżna Ticonderoga, chrupiąc migdałowe ciasteczko, to samo w istocie swej, co on – poczucie tego samego smaku, idei tego smaku rozłożonego na dwie zwierzęce mordy – [miał wczoraj wrażenie, że wszyscy są poprzebieranymi bydlętami, co dalekie od prawdy nie było,] – skondensowało w nim poczucie teraźniejszości, jednoczesności i tożsamości, od której wszystko zdawało się pękać. Nic nie mieściło się w sobie. Ale czemu dopiero teraz? Och – jakież to nudne – „temu”, że właśnie pewne gruczoły siknęły wydzieliną w wewnętrzny miąższ organizmu, zamiast puszczać to zwykłymi kanałami. „Czyżbym zawdzięczał to oczom tego starego pudła” – pomyślał o księżnej Irinie, wiedząc, że popełnia **straszna** niesprawiedliwość, że niedługo przyjdzie mu się kajać (tak, kajać – jakże nie cierpiał tego słowa!) przed swoją dla niej miłością, że będzie jej to mówił – **to**

właśnie **jej!** – (wstrząsnął się z poczucia obrzydliwej, zwierzęcej, z lekka nie pachnącej poufałości, do której przyjść kiedyś musi), to właśnie, z tym okrucieństwem młodości, które burzy ostatnie resztki wysychających soków w trupiejących pół-starcach i staruszkach. Oczywiście nie rozumiał całego swojego wstrętne uroku: on – „*Valentino-obraznoje suszczestwo*” – jak nazwała go wczoraj księżna, za co się tak strasznie na nią oburzył – on, z krótkim, tak prostym, że aż prawie zadartym, małym, mięsistym, rozdwojonym, a nic nie rozplaskanym przy tym nosie, o twardo zarysowanych, esofloresowato wywiniętych, ale przy tym nic nie murzyńskich, ciemno-krwawych wargach – nie był bardzo wysoki (jakie 185 cm), ale cudownie proporcjonalnie zbudowany, zawierał w sobie potencjalnie całe morze cierpień nieznanymi mu obecnie bab. I nieświadomie cieszyły się już tym wszystkie komórki jego zdrowego jak byczy jęzor ciała. Dusza unosiła się nad tym olimpijskim igrzyskiem komórek (innego słowa na to nie było) z lekka koślawą, anemiczną, troszkę nawet potworkowatą, a nade wszystko nierozwiniętą zupełnie – nic o niej nie można było powiedzieć – chyba może jakiś psychiatra i to dobry – może taki Bechmetiew? Ale coraz mniej było na szczęście różniczek społecznych tego typu i nawet scałkowanie ich wszystkich w danym miejscu i czasie nie wpłynęłoby już na wypadkową biegu wypadków. A więc znowu: jeszcze wczoraj spał w tamtym dawnym szkolnym życiu, jeszcze nawet na tym wieczorku, gdzie jak mu się zdawało, reprezentował bądź co bądź, zupełnie mimo woli, całą piwną

potęgę baronów Kapenów de Vahàz, obecnie Ludzimierskich – a dziś? Sam nie lubił piwa, a poczuć siebie samego jako pasożyta na życiach nieszczęsnych (tak po prostu) robotników, nawet tonących w takiej sztucznej polskiej na amerykański sposób „*prosperity*” i udoskonalonych w swej mechanizacji do absurdu, ciężkie było aż do bólu. Jedyłą ekspiacją byłoby oddanie się jakiejś pracy nic z tym wszystkim wspólnego nie mającej. Już wybrał literaturę, jako zawierającą w sobie całość życia, a tu – trach! – ojca trafił szlag. Teraz przekonał się, że wcale nie kochał tego osławionego wielkiego piwowara – („króla słodu” – jak go nazywano) – to jest w porównaniu oczywiście do bolesnej i aż do obrzmienia nudnej miłości do matki. Nie – żyć męką (choćby nieświadomą) zapracowanych czort wie po co w ten sposób pseudo-ludzkich półbydłał – nie będzie. [Ach jakże łatwo byłoby zrobić z nich świetliste duchy! Ale trzeba na to idei – no i pewnego obcięcia tych odpadków dawnej giełdy, które błąkały się jeszcze aż brudne i śmierdzące od interesów po zakamarkach nędzy polskiego ducha, tego przez wielkie **D** (mimo że o nim tyle gadano)]. Co najwyżej może dostawać jakiś procent (mały kompromis już) – matka też i siostra (maska kompromisu). Dobrze jest za wszelką cenę uniknąć sprzeczności ze sobą samym po „przebudzeniu się”. Ale dziś postanowienie to nabrało innej wagi – objęło śpiącą przeszłość, zbudziło w niej echa niebyłych wyrzutów, zachwiało pewne stałe punkty jak: dom, rodzina, matka, i osobno od domu piętnastoletnia siostra (której dotąd prawie nie zauważał), Iniano-włosa Lilian. Między innymi

cała szkolna nauka rozwiąta się, jak gdyby nie była szkolną, porządną, jedyłą prawdziwą nauką, tylko bzdurą, która mogła być taką lub inną, albo nie być nawet wcale. Już zaraz – trochę cierpliwości, a zacnie się życie: świństwa, wypadki, ciekawe przeżycia i pornografia. Ach dosyć – na czym-że u diabła polegała ta zmiana. Niepokój w dolnej części brzucha, budzący się w związku ze spojrzeniem wszechwiedzących, podobnych do turkusowych gałek w świńskiej oprawie, oczu księżnej – (Genezyp miał oczy orzechowe – wspaniały kontrast) – lekkie upokorzenie na ten temat – on miał być funkcją takich głupstw! Do dziwności niższego stopnia w porównaniu z minioną chwilą należały wspomnienia tego wieczora, teraz dopiero układające się w jakąś pozornie przynajmniej zrozumiałą łamigłówkę. Jak w jakimś przyśpieszonym kinie mignęły mu obrazy i w postaci ciemnych, przelatujących jak pociski przez gąszcz znaczeniowej sfery, piguł, przesunęły się też rozmowy. O jakże inaczej pojmował ich sens w tej chwili.

Wieczór u księżnej Ticonderoga

Niebieskooki sęp na ogromnej kanapie i rączka dziwnie miękka, jakby nieprzyzwoita w swej miękkości („gdyby ona, tak jak Toldzio kiedyś w lesie próbował w te dni niezapomniane...” – mignęło coś niejasno. – „Ach, więc to tędy płynie”). Aż do bólu wstydliva i bezwstydna rączka, wszechwiedząca, jak i oczy. Czego bo się ona w życiu już nie dotykała – a co jeszcze było przed nią w tej sferze. Już mówił:

– Właśnie zdałem przyśpieszoną maturę. Czekam na przyszłość, jak na pociąg na małej stacyjce. Może będzie to zagraniczny ekspres, a może zwykły osobowy gruchot, który skręci na jakąś lokalną linię małych zagmatwań. —

Oczy jej, jak oczy sowy, obracały się, a twarz była nieruchoma. Czuć było w niej cały „żal za beznadziejnie uciekającym życiem” – pod takim tytułem walca wykonał przed chwilą wyfraczony, brodaty, długowłosy, z lekka garbaty i jak garbus zbudowany, długopalczasty, kulawy (z powodu na wpeł uschniętej nogi), Putrycydes Tengier, lat czterdziestu dwóch, genialny, oczywiście nieuznany oficjalnie kompozytor.

– Panie Putrysiu – niech pan gra dalej. W muzykę zawiniętą chcę oglądać duszę tego chłopca. Cudny jest tak, że aż wstrętny w tym swoim wewnętrznym zaniedbaniu – mówiła księżna tak nieprzyjemnie, że Genezyp o mało jej w twarz nie uderzył. – Ach, gdybym to zrobił – odwagi nie mam –

zaskowyczał w nim dziecinny głosik. Fotele puchły, chłonąc innych gości, którzy zdawali się zanikać i rozpląwać we mgle. A był tam ten wielki czciciel Onana, kuzyn Toldzio, już od dwóch lat marnujący się w szkole dla młodych dyplomatycznych głuptasiów. Był sam Ticonderoga, od środka zgrzybiały, ale zewnętrznie zawieszisty i zwalisty starzec i mnóstwo dam z sąsiedztwa z córkami i synkami, i jacyś wiecznie podejrzani i niepojęci w istocie swej bankierzy i byznesmani – jeden prawdziwy król giełdy w dawnym stylu, obecnie unikat tego typu, na wątrobowych wywczasach. Używać musiał krajowych źródeł, a tam w „prawdziwych” tarzali się bolszewiccy dygnitarze całego świata! Żaden bowiem „większościowy” Polak nie miał prawa wjazdu do wszechświatowej „*cultural reality*” – mógł żyć złudzeniami, ale tylko u siebie. Była też pewna sierota, daleka kuzynka pani domu, Eliza Bałachońska, podobno nawet jakaś tam księżniczka. Było to pozornie bardzo niepozorne stworzenie – jakieś blond-loczki, jakieś zwrócone do środka oczka i rumieniec koloru jesiennej zorzy. Tylko usta, usta... Genezyp nie mógł jej nawet zauważyć istotnie swymi narządami poznania życia w ich obecnym stadium rozwoju. A jednak coś w nim drgnęło tam, w tym ośrodku przeczuć, w którym kłębiła się potencjalnie przyszłość, ciemna, może okropna. „Oto jest żona dla mnie” – rzekł w nim ten głos proroczy, którego tak bał się, prawie nienawidził. A tam tymczasem, w gronie trochę przerażonych i ubawionych kobiet, młody (27 lat) Sturfan Abnol, powieściopisarz, krzyczał prawie na tle dzikiej muzyki podpitego

z lekka Tengiera.

– ...ja mam się popisywać z moją znajomością życia przed tą publicznością, którą pogardzam, do której obrzydzenie czuję, jak do robaków w zgniłym serze? Przed tą ohydną gawiedzią ogłupioną przez kino, dancing, sport, radio i kolejowe biblioteki? Ja mam dla ich zabawy pisać takie właśnie kolejowe romanse, żeby żyć? A niedoczekanie ich (czuło się wyraźnie, że ledwo się wstrzymywał, aby nie zakląć ohydnie – słowo „skurwysyny” wisiało w powietrzu), tego plemienia prostytutów i platytudów! – Zachłystywał się pianą wściekłości i oburzenia.

Informacja: Specjalnością księżnej byli niedoceniani artyści, których nawet częstokroć materialnie wspomagała, jednak nigdy o wiele powyżej tzw. punktu „niezdechnięcia-z-głodu”. Przestaliby być bowiem w takim razie niedocenionymi. A znanych ludzi tej sfery i uznanych cierpieć wprost nie mogła, uważając ich nie wiadomo czemu za żywą obrazę najistotniejszych jej uczuć rodowych. Lubiła sztukę, ale nie mogła znieść jej „rozpanoszenia się”, jak mówiła. Dziwne było to zdanie na tle zupełnego prawie zaniku artystycznej twórczości w ogóle. Może u nas właśnie coś tam tlało jeszcze, na tle nienormalnych, sztucznych stosunków społecznych, ale w ogóle – pożał się Boże!

– Nie – nie będę ich błaznem – piał dalej zapieniony Sturfan. „Zachliobywałaś” i pluł jadem. – Będę pisał powieści, kiedy już w sztuce, **prawdziwej** sztuce nic do zrobienia nie ma – ale powieści **me-ta-fi-zy-czne!** Rozumiecie? Dosyć już tego

parszywego „znavstwa życia” – zostawiam to wyprutym z talentu podglądaczom miernoty i odtwarzającym ją z lubością. Bo czemu to właśnie robią? Bo nie mogą nikogo wyobrazić sobie ponad siebie samych. Nie mogliby stworzyć typów wyższych i zdobyć się wobec nich na ten, tak zwany przez krytycznych pasożytów, „pogodny, ten pseudo-grecki uśmiech pobłażania” z wysokości niedosiężnej twierdzenia, że wszyscy są świnie i ja też, i przebaczam to im i sobie też. Do cholery już raz z tą całą Grecją i tym odgrzewaniem pseudo-klasycznych rzygowin. A nie! – To to się u nich, tych krytykonów, tych tasiemców i trychin w ciele konającej sztuki, nazywa obiektywizmem i oni śmia przy tym wspominać Flauberta! Nie – tu ten pseudo-obiektywny, to jest świńsko-uśmiechnięty, ogólną pospolitością zbabrany autor wałęsa się sam osobiście między stworzonymi – ha – to się nazywa twórczością: to podpatrywanie przez dziurkę od klucza tych, których podpatrzeć się może – wyżsi ludzie, o ile są w ogóle, tak łatwo podpatrzeć się byle komu nie dadzą, więc jakże tu ich opisać? Tak – otóż autor wałęsa się jako jeden z całej kompanii, pije z nimi „na ty”, sam pijany niezdrową manią nikomu niepotrzebnego poniżania się, zwierza się niegodnym nawet siebie swoim bohaterom – i to się nazywa obiektywizmem! I to się nazywa społecznie wartościową literaturą – ukazuje się wady różnym draniom, tworzy się sztuczne papierowe pozytywne typki, które nie są zdolne przekabacić negatywnego wyniku na płaski zresztą optymizm, opierający się na ślepotcie. I taką hołotę chwałą...! – Zakrzusił się i pozostał chwilkę w pozie

pełnej rozpaczy, po czym zaczął pić na nowo.

Po szalonym końcowym bębnieniu zerwał się od zmęczonego Steinway'a spocony, z pomiętym gorsem i rozwichrzonymi a jednak skołtuniałymi włosami, Tengier. Jego oczy płonęły kolorem „*bleu électrique*”. Nie panując nad sobą zbliżył się chwiejnym krokiem do księżnej. Genezyp siedział tuż obok – już zaczynała się w nim przemiana. Teraz wiedział, kto mu pokaże dalszą drogę życia. „Chociaż kto wie, czy nie wolałbym z tamtymi” – pomyślał niejasno na tle mglistego obrazu zabronionej mu przez ojca, niewyobrażalnej nawet w przybliżeniu oficjalnej rozpusty. Coś się rwało w nim jak kawał płótna – tylko pierwsze pociągnięcie było bolesne (czyniły to jakieś łapy zwierzęce w nim samym, zaczynając od tak zwanego „dołka”, a potem dalej, aż po niższą część brzucha, tam...), potem szło to już coraz prędzej z niebezpieczną łatwością. W tej chwili stracił dziewictwo, a nie jutro, jak to potem sobie wyobrażał.

– Irina Wsiewołodowna – mówił Tengier, nie zwracając na Genezypa żadnej uwagi. – Ja muszę wrócić do pani, nie jako pokorny substytut erotyczny z dawnych czasów, tylko jako zdobywca. Niech pani raz puści mnie tam, do tej zamkniętej komnaty – raz – a potem na zawsze cię zdobędę – zobaczysz. Nie pożałujesz tego. Irina Wsiewołodowna – jęknął boleśnie.

– Niech pan wraca do swojej chamki. – (Później dowiedział się Genezyp, że żoną Tengiera była młoda jeszcze i przystojna góralka, z którą ożenił się był on dla pieniędzy i chałupy.

Zresztą podobała mu się nawet trochę z początku). – Wie pan przynajmniej, co to jest szczęście, i niech to panu wystarcza – szeptała dalej księżna, uśmiechając się przy tym uprzejmie. – A dla muzyki pana, to lepiej, że pan cierpi. Artysta, **prawdziwy** artysta, a nie przeintelektualizowany młynek, mający automatycznie wszystkie możliwe wariacje i permutacje, nie powinien bać się cierpienia.

Genezyp poczuł w sobie jakiegoś okrutnego polipa, który czepiał się ścian jego duszy, lepkich i zaognionych i pełzył wyżej i wyżej (w kierunku mózgu może?), łaskocząc przy tym wszystkie nieczułe dawniej miejsca, rozkosznie i niemiłosiernie. Nie – on nie będzie cierpiał za nic. W tej chwili poczuł się starym rozpustnikiem, takim jak ojciec Toldzia, brat jego matki, hrabia Porayski – taki „galicyjski” jeszcze – okaz zachowany z niepamiętnych czasów. Kiedyś marzył, aby być takim zblazowanym draniem – teraz, mimo że żadnych danych ku temu nie miał, obraz takiej przyszłości przejął go wstrętnym lękiem. Czas pędził jak wściekły. – Jak de Quincey pod wpływem opium, przeżywał teraz Zypcio setki lat ściśnięte w sekundy, niby w sprasowane szalonym ciśnieniem pigułki skomprimowanego trwania. Wszystko było już nieodwołalnie postanowione. Wierzył, że może z niczego stworzyć siłę, którą opanuje tego babiego potwora, dyskretnie rozwalonego przed nim wspaniałym ruchem na kanapie. Wiedział, że ona jest starowata, mimo dziewczynkowatego chwilami wyglądu – trzydziestu ośmiu do czterdziestu lat – ta właśnie nieświeżość,

ta wszechwiedza tego przepięknego babiszona podniecały go w tej chwili aż do nieprzytomności. Ani się opatrzył, a już był po tej zakazanej dotąd przez ojca stronie życia. A przy tym zimna myśl: musi być złym mężczyzną.

Tengier najwyraźniej wachał szerokim, obrzydliwym nosem, pochylając się nad obnażonym ramieniem księżnej. Był niesamowicie odrażający, a jednak czuło się w nim skrepowaną siłę najprawdziwszego geniusza. Wydał się Zypciowi w tej chwili psem na łańcuchu z dawnych lat. Ale tego psa nie chciałby spuścić – nie – właśnie niech się męczy – była w tym wstrętna, zbrodnicza, aż mdląca jakaś tajemniczą ohydą, niepachnąca rozkosz. (Sama obecność tej kobiety wydobywała ze wszystkich to, co było w nich najgorszego, najplugawszego. Roili się od potworności, jak ścierwa od robaków). A wszystko to pod maską artystycznego wieczorku z okazami błaznów, dla zabawy „najlepszego” towarzystwa. I nawet Zypcio, tylko co jeszcze niewinne dziecko prawie, już był takim kandydatem na rozkładającego się psychicznego trupa, dla uciechy niesytego babskiego ciała. Dawny chłopczyk, czysty i dobry, tłukł się w nim rozpaczliwie jak motyl za szybą, chcąc uciec od oczekujących go okropności. Rozkosz! Być bydlęciem bezpamiętnym człowieczej godności, wpajanej mu a) przez ojca na wakacjach, b) przez panią Czatyorską, podupadłą arystokratkę o książęcych pretensjach, u której mieszkał na stacji, c) przez profesorów i d) specjalnie wzniosłych, ponurych kolegów, których mu dobrał na żądanie papieża sam dyrektor. Och – ta

człowieczość nudna i blada, narzucona mu z góry – jakże jej nienawidził! Miał jakąś swoją godność własną, niczym nie gorszą w jego mniemaniu od tamtej. A musiał ją ukrywać, bo „tamci” by ją zdeptali, zatłamsili w zarodku. Ta jego godność była wcieleniem buntu: wszystkie psy spuścić z łańcucha, rozpedzić robotników ojca, podzieliwszy między nich całe piwo, wypuścić wszystkich więźniów i wariatów – wtedy mógłby iść przez świat z podniesioną głową. A tu nagle zaprzeczenie tego wszystkiego w postaci tej bezwstydnej baby i rozkosz w tym zaprzeczeniu właśnie. Ale czemu ona była symbolem odwrotności dawnych, własnych i narzuconych ideałów? Czyż mógłby od niej „dowiedzieć się o życiu”, pozostając tamtym? Okropne, ale rozkoszne – nie było na to rady.

Wzburzona od samego dna, nawarstwiona przedtem sztucznie pod ciśnieniem szlachetność (ta prosta, nie dająca się opisać zupełnie) i idealizm (wiara w jakieś bliżej nieokreślone „rzeczy wyższe”, które oznaczało środkowe kółeczko w schemacie „jaźni” własnego pomysłu), napotkały tamę wyczelowanej osobiście i od wieków kobiecej zwierzęcości, najeżonej różnorodną płciową bronią, jak pancernik lub twierdza armatami. Jednak u podstawy wszystkich początków czegokolwiek bądź w jego życiu był ojciec, ten opasły piwowar z siwymi wąsiskami *à la polonaise*. Mógł przecie nie pozwolić mu pójść na ten „*Kinderbal*”, jak nazywał wieczorki u księżnej. Nie – on sam pchał go w ten gomon rozpusty i użycia, sam go do tego namówił, jak tylko poczuł się lepiej po „szlagu”. Może tym

chciał go odciągnąć od wymarzonej literatury? Ale znowu czyż on mógł być autorytetem, gdy mówił o przodującym stanowisku swego narodu w pochodzie cywilizacyjnym (ale za cenę wypełnienia pewnych warunków: organizacji pracy, wyrzeczenia się socjalizmu, powrotu do religii, oczywiście katolickiej), jak mógł dziś uważać się za kogoś wybranego na tle tego, co działo się na świecie całym, on, niepomniernie używający życia pseudo-wojewodowaty starzec, wyrosły jak grzyb potworny na bagnie nędzy i krzywdy swoich robotników, których wysysał maksymalnie, według zasad tej właśnie naukowej organizacji, wmawiając im, że za 200 lat osiągną fordowski dobrobyt, który **tam** dawno się już skończył. (Okazało się, że ludzie nie są znowu tak wielkim bydłem i że bez idei żyć im trudno. I pękła cała ta osławiona Ameryka, jak olbrzymi, okropny wrzód. Może i gorzej im było potem na razie, ale wiedzieli przynajmniej, choćby na krótko, że nie są automatami w rękach takich samych automatów, tylko trochę mędrszych. A zresztą czy tak czy inaczej wszystko się skończy tym samym, to jest zupełną mechanizacją – chyba, że stanie się cud). [Nie mógł znieść Zypcio widoku tych robociarzy bez obrzydliwych dreszczów i mdłości w dolnych bebechach. (A jednak kto wie czy i w tym nie było czegoś erotycznego. Erotomania? Nie – tylko nie trzeba chować głowy pod poduszkę, gdy zbóje rzną sąsiada). Oto teraz snuli się na drodze, wiodącej od kompleksu fabryk do pałacu w błękitnej pomroce gasnącego zimowego wieczoru, przerywanej fioletowymi snopami światła łukowych

lamp. Bezmierny smutek niepogodzonych nigdy sprzeczności: indywidualnego i gatunkowego istnienia, powiał na niego od tego widoczku (jakby z jakiejś pocztówki nie z tego świata) i osiadł na przypomnianych znowu słowach młodego literata, Sturfana Abnola].

– ...nie będę błaznem – powtarzał wtedy pijany Abnol z uporem. – Robię to tylko dla tajemnych celów mego własnego wewnętrznego rozwoju. Zatruty jestem od rzeczy niewypowiedzianych, które tylko pisząc powieść uświadomić sobie mogę. One to rozkładając się w moim mózgu wytwarzają ptomainy niejasności, lenistwa i bezwładu. Muszę zobaczyć, co jest poza tym, a to, że to czytać będzie banda dzisiejszych, niegodnych prawdziwej twórczości, półzmechanizowanych bydląt z pretensjami na pół-bogów i paru może mądrych ginących ludzi, których pewno osobiście nie poznam, co to mnie, **mnie** obchodzić może?! Ja nie mam zamiaru być tym wytwórcą wzmacniających zastrzyków dla zdychających narodowych uczuć, czy degenerujących się społecznych instynktów tych wymierających robaków na resztkach zgniłego ścierwa wspaniałego bydłęcia z dawnych wieków. Ja nie chcę opisywać tych ludzi przyszłości, od których wieje pustka bydłeczego zdrowia. Co o nich w ogóle ktoś naprawdę inteligentny powiedzieć może – o tych, co jak szpada w pochwę czy klejnot w futerał wchodzi w swoje przeznaczenie. Idealnie dopasowana do narzędzia funkcja nie jest niczym psychologicznie ciekawym, a powieść epicka jest

dziś fikcją bezpłodnych grafomanów. A najciekawsze jest **absolutne** (!) niedopasowanie człowieka do funkcji istnienia. I to występuje tylko w epokach dekadencji. Tam to widać dopiero metafizyczne prawa bytu w całej ich nagiej okropności. Mogą mi zarzucać, że robię ludzi bez woli, próżniaków, analityków niezdolnych do czynu. Mogą się innymi typami i nawet ich tropikalnymi awanturami czy sportem zająć ludzie mniej ode mnie inteligentni. Ja nie będę opisywał tego, co byle dureń zobaczyć i opisać potrafi. Ja muszę sięgnąć w niewiadome, w sam najistotniejszy podkład tego, czego powierzchnię durnie widzą i opisują bez trudu. Ja chcę zbadać prawa historii świata nie tylko tu, ale wszędzie, gdzie są myślące stworzenia. Nie mam ambicji opisanie całości życia, bo ta całość nudna jest, jak nudnym jest wykład teorii Einsteina, tego ostatniego wielkiego twórcy w fizyce, dla mojej kucharki. —

Tengier przestał wachać ramię księżnej i sprężył się cały, akcentując potworność swojej pół-karlej budowy.

– A jednak będziesz błaznem, Sturfanie Abnolu – rzekł olbrzymiejąc ponad całym tym salonem w gigantycznej wizji swojej własnej przyszłości. (Nawet księżna Irina Wsiewołodowna poddała się temu i ujrzała go nagle innym: jakby w jakimś hyper-bajzlu wszechświatowej metropolii na piramidzie gołych i (innych) cudownie ubranych dziewczynek, w chwale wynalazcy nowego narkotyku, po wyczerpaniu wszystkich kokain, peyotłów i apotransformin. Ona u jego nóg (z których jedna była sucha – (o niej to o tej nodze

mówili wrogowie, że przynajmniej mniej będzie śmierdział ten potwór, jeśli mu ją obetną)) – (on też był goły) nóg włochatych, wykręconych, o wstrętnych stopach żaby. Na kolanach i brzuchach przed nim tarzali się w ostatnich drgawkach szafu wyznawcy-nałogowcy jego jadu).

Informacja: Wszystko to była gruba przesada. Już prawie nikt sztuki nie potrzebował. Rządcy maniacy utrzymywali ten snobizm w pewnych ograniczonych kółkach z niesłuchanym wysiłkiem.

On, dobroczynny truciciel ginących widm, stał uśmiechnięty diabelsko, przepojony tryumfem i sławą, którą wypełniona była przestrzeń dookoła aż po brzegi. W nieskończoność szły fale eteru, czy też rozprzestrzeniały się prostopadle magnetyczne pola (wszystko jedno – i to mało kogo obchodziło z wyjątkiem paru ginących teoretycznych fizyków), niosąc w międzyplanetarną, wymarłą przestrzeń fale dźwięków, dobyte z jego mrocznej, brudnej duszy za późno sycącego się życiem starszawego pana – raczej chamowatego pół-panka. Tengier mówił dalej do zapadającego w zupełną prostrację pisarza:

– Nic cię od tego błazeństwa nie uchroni, choćbyś całkiem inaczej o sobie myślał. Czy to jest prawdą o tobie, co sam sobie wyobrażasz, czy to, czym jesteś faktycznie w splotach kłębiącej się według transcendentalnych, metafizycznych praw, społeczności. Artyści byli zawsze błaznami wielkich świata tego i takimi pozostaną, dopóki choćby takie odpadki tej wielkości walać się będą po świecie, jak tu obecni we

własnym pałacu księstwo Ticonderoga. (Księżna zamarała w najwyższym zadowoleniu swych ambicji. Lubiła odwagę towarzyską swoich gości „niższego” gatunku. Pyszniła się ich impertynencjami – kolekcjonowała je, zapisując w swoim „dzienniczku”, jak nazywała ten stek najbezwstydniejszych samiczych wywnętrzeń). – Możesz sobie wyobrazić, że piszesz dla swego pogłębienia, a społecznie jesteś tylko saltebankiem, rozweselającym znudzone nasyceniem wszystkich pragnień dusze tej byłej elity, a dziś hołoty, która u nas jeszcze utrzymuje się jakimi cudem na wierzchu, jak brudna pianka na rwącym nurcie wstającej nowej ludzkości. Ja tylko zdaję sobie z tego sprawę i innym być bym nie mógł, a ty...

– Ja nie chcę znać społeczeństwa. Muszę żyć w tym błocie, ale też izoluję się od niego – krzyknął znowu w nagłej pasji Abnol. – Chyba, żeby to było społeczeństwo idealne, a nie nasza zakłamana demokracja. Może tam na Zachodzie lub w Chinach... —

– Więc nie społecznie, jeśli już chcesz koniecznie, ale istotnie – poza własnymi złudzeniami w każdym razie – w odniesieniu do wieków przyszłych. Nie trzeba czekać Sądu Ostatecznego – za 200 lat każdy z nas będzie tym, kim jest – bez pięknych sukienek, bez różnych ozdóbek, bez których żyć by nie mógł, bez osobistych uroków —

– Szczególniej pan, panie Putrysiu – wtrąciła jadowicie księżna. Tengier nie spojrział nawet na nią.

– Wiadomo będzie, co zdziałał tym swoim osobistym

urokiem. A zresztą to wcale nie jest złe nawet w sferze sztuki, nie mówiąc już o życiu działaczy, zdobywców i tym podobnych przemieniaczy realnych wartości. O – gdybym ja nie był garbusem o wyschniętej na patyk nodze... —

– Wiemy wszyscy, jak pan stara się udowodnić sam przed sobą siłę swego ducha i dźwiękowych kombinacji. Ale to trochę nieczysta sprawa z tą siłą ducha właśnie. Gdyby nie emocjonalne działanie samych dźwięków... —

– Mówi pani – (Tengier nigdy nie tytułował utytułowanych) – o tych tak zwanych uwiedzionych przeze mnie bubkach. – (Homoseksualizm był od dawna już dozwolony i bardzo stracił przez to na sile). – O tych efebach, którzy zastępują mi całe moje zawiedzione życie? – rzekł Putrycydes brutalnie, jakby się wyrzygał na wspaniały ruszczucki dywan. – Tak – nie potrzebuję się ukrywać. – Mgła potęgi lubieżnej przesłoniła mu twarz – był prawie piękny. – To mój jedyny tryumf, kiedy ja, wstrętny kaleka, bez cienia prawdziwego pożądania, plugawie jakieś czyste, piękne...

– Dosyć.

– I kiedy taki pójdzie potem do swoich dziewczynek – ja jestem już ponad tym i wtedy mogę się zapaść w mój świat czystej konstrukcji dźwięków, gdzie jestem pogodny jak sam Walter Pater, poza tą wstrętną seksualną ponurością, poza przypadkiem chwil takich, a nie innych – jestem w bejzakościowym państwie absolutnej konieczności w dowolności! Bo cóż jest straszniejszego, jak ta godzina od

drugiej do trzeciej popołudniu, kiedy nic ukryć przed sobą nie można i naga okropność metafizyczna przebija jak kiel zwaliska codziennych złud, którymi staramy się zabić bezsens życia bez wiary... O, Boże! – Zakrył pysk rękami i zastygł. Przerażeni goście kiwali głowami myśląc: „co też to musi się dziać w tym włochatym łbie, tuż obok nas?” A jednak mało kto nie zazdrościł Tengierowi tego, choćby urojonego, nie dającego żadnych dochodów niepojętego świata, w którym on żył sobie „ot tak”, swobodnie, jak oni na tej męczącej nawet dobrobytem wyspie spóźnionego pseudo-faszystowsko-fordowskiego galimatiasu. Księżna gładziła Tengiera po głowie, zapatrzona w swoją starość. Nagle coś się jej przekreśliło. Znała takich chwil tysiące i bała się ich obłądnie.

Genezyp nie rozumiał w istocie nic, ale bebechy jego darły się dalej w nieskończoność. Pił pierwszy raz w życiu i dziwne rzeczy zaczynały mu się dziać w głowie i całym ciele. A wszystko jednak było jak na obrazku – „*intereslose Anschauung*”. Chwila oderwana od przeszłości i przyszłości, wyjęta spod sądu zaszczepionych mu ideałów-nowotworów, wygięta lekko, podawała się zadem w nieskończoność – tam był jeszcze ktoś osobowy, jakiś młody bóg (a chwila ta, to była księżna) – „tęcza była mu przy pasie, księżyc obok nóg” – Miciński, *Izis*. Piekielna „frajda” nieodpowiedzialności – nagle zrozumiał ostatnie słowa Tengiera – „konieczność w dowolności” – cóż za głębia była w tym powiedzeniu. „To ja, to ja” – szeptał radośnie. Widział samego siebie jakby po drugiej stronie rzeczywistości za rzeką

jakaś, niby Styksem z rysunku Doré'go. Był doskonały w swej skończonej piękności, a w rzece pływały utopione ziemskie żądze, jak krwawe flaki. [Ale to wszystko nie było jeszcze to, co teraz]. Stało się. Żałował swojej nieświadomości, kiedy było już za późno na wszystko. Zateęsknił do szaleństwa za **naprawdę** nieodpowiedzialną epoką dziecinnej dyscypliny i swojej niepowrotnej jednolitości. A jednocześnie jakby ostatnia skorupa fałszu i obłudy spadła z ojca jego (może konał tam teraz na apopleksję?) i nagi pęd, nieprzyzwoity jak szparag czy młody bambus, wydobył się z mokrego, parującego gnojowiska. To on sam był tym bogiem w oddali i tym pędem głupim – stał się dwoistym, „odtąd i na zawsze”. Wszystko to poczuł znowu od środka: dziwność była w nim samym – świat: salon, panienki, stara rozpustnica (jej uśmiech ostry szaleństwem żalu za niepowrotnym kobiecym świństwem, za panowaniem nad tymi „głupio-mądrymi koczkodanami” [inaczej w myślach mężczyzn nie nazywała]) **to wszystko było w nim**. Zupełnie zwątpił na sekundę w realność tej całej fantasmagorii – był sam i było mu rozkosznie. Nie wiedział, że jakieś panienkowate oczy wpatrzone są w niego, że widzą wszystko i że chcą go ratować – były to oczy Elizy. Wobec bestialskich jego przemian wewnętrznych było to jak ukąszenie komara w zmiążdżoną łydkę. Gdyby tylko mógł odwrócić się teraz od oczu tej baby i spojrzeć w tamten kąt koło fortepianu – całe życie wyglądałoby inaczej. „Jednak to jest upokarzające – to przeznaczenie zawarte w jakiejś babie – bo oczywiście to są niższe stworzenia” –

tak by pomyślał jeszcze pięć lat temu, kiedy to uciekł od pocałunków jakiejś przewrotnej pokojówki, o czym zupełnie zresztą zapomniał. Nie mógł pomyśleć tak teraz. [Ale czymże były te pijane wrażeńka wobec obecnej chwili przebudzenia. Teraz dopiero zdawał się wiedzieć wszystko, a ileż chwil takich, coraz wyższych (czy niższych? – to zależy od charakteru całości splotu, od jego wykładnika w sferze etyki) stopni wtajemniczenia w misterium świata, miał jeszcze przed sobą?]

A księżna zwróciła na niego oczy, wszechwiedzące w rozkoszy i w męce i oblizła go całego tym wzrokiem: był jej. „To ona wprowadzi mnie w to” – pomyślał ze strachem i nagle poczuł koło siebie matkę jak żywą, jakby tu przy nim stała, broniąc go przed tą zwyrodniałą, starowatą nadsamicą. Przecież ta ukochana mama jest czymś zupełnie podobnym do tego potwora – jeśli nie aktualnie, to potencjalnie. Mogłaby być taką rozpustnicą – i co wtedy? „Nic – kochałbym ją tak samo” – myślał dalej z trochę wymuszonym dżentelmeństwem. „A jednak szczęście, że tak nie jest”. Poczuł zazdrość matki i tajemnicę straszliwą macierzyństwa – to, że ona ma do niego jakieś prawo – ale nie było w tym nic z uczucia wdzięczności. Mimo wszystkich tych pozornych związków on spadł skądś przypadkiem (tym najstraszniejszym, bo koniecznym – oto tajemnica) na ten świat i nikt nie jest za to odpowiedzialny – nawet matka – a tym bardziej ojciec. Źródło jego istnienia, ten ciąg zawiłych tragedii tyłu ciał i duchów niezgodnych ze sobą i między sobą (i to wszystko dla wytworzenia takiego

wyrodka) stał się na chwilę zrozumiałym. „Tym właśnie miałem być, raz na wieczność całą – takim właśnie, albo wcale.” Miał intuicję bezsilności pojęcia przyczynowości wobec istnienia: poczucie statystyczności całej fizyki i „pochodności” pojęcia przyczynowości psychologicznej z dwóch źródeł: konieczności logicznej i fizjologii, w granicy sprowadzalnej do fizyki. Ale o tym nie **wiedział** – miał się dowiedzieć nieco później. A zaraz obok śmierć – najwyższa sankcja osobowego istnienia. Tylko za tę cenę... Dalej myślał o matce: „Gdyby była umarłą, obroniłaby mnie – żywa nic nie pomoże. Zanadto jest ludzka, codzienna, niedoskonała i grzeszna w kościelnym znaczeniu. Przecież ona musiała coś takiego robić z ojcem... Brr...” Zrozumiawszy tę straszną prawdę, niedziedziną, jak mu się zdawało, uczuł się dumnym. I już jako „starszy” poddał się tamtemu mrokowi i zmieszany powiedział jej: (oczami tylko) – „tak”. I strasznie się zawstydził, wstrętnie po „chłopcemu”, niegodnie. A ona, odwracając się do tamtych, oblizła wargę ostrym, różowym kocim języczkiem w tryumfie. Kute na wszystkie kopyta, lubieżne babsko wiedziało już, że zdobycz jest jej. I wzdrygnęło się jej mądre ciało, już w myśli odbierając dziewictwo temu ślicznemu, valentinowatemu chłopczykowi. Nawet Sturfan Abnol, który dawno przestał być jej kochankiem i pokonał ją (raczej jej erotyczną wiedzę) zupełnie, doznał raptownego wstrząsu niższych warstw. Gdyby mógł mieć ją teraz, od razu, z tym uśmieszkiem, pożądaną tamtego, beznadziejnie zimną – och, to byłaby rozkosz! Ale

szybko przeszła mu ta mała, nagła chęć. Za to Tengier był w płciowej rozpaczy zbabrany jak w gnojówce. „I stworzyć taką siłę wpierv, by móc żyć całkiem bez tych ścierv” – bąknął wierszyk jakiegoś młodego hyper-realisty bez talentu, jednego z tych, co łączą słowa syndetikonem deformacyjnej perwersji w stosunku do sensu, a nie natchnieniem. Zamajaczyła mu w pamięci pustelnia kniazia Bazylego, z tych czasów, kiedy to „świetlejszyj” uznawał jeszcze narkotyki, nie doszedłszy do tego ostatniego, którym jest mistycyzm. Mistycyzm, a nie religia. „Religia jest najgłębszą prawdą. A te wszystkie jej pochodne to już nie wiara, tylko omamienie słabych dusz, niezdolnych do patrzenia oko w oko własnej ich metafizycznej pustce. To już nie to. I niektórzy wiedzą o tym i trują się świadomie przez sflaczenie ducha, brak woli do prawdy i strach przed bezsensem, który odkrywa wszelka ostateczna prawda, jeśli go nie zakrywa szczelnie granicznymi pojęciami. Ale na luksus pojęć granicznych nie każdy sobie pozwolić może”. Tak mówił kiedyś do Bazylego Tengier. A jednak była to rozkosz, kiedy daleko, daleko poza seledynem rozciągał się bezkresny kraj „Czarnego Placka”... Tak nazywał się ów ląd, na którym zdawała się lądować bezprzestrzenna w granicy jaźń, po przepłynięciu groźnego, ale skończonego oceanu zupełnej nicości – to było cudem. Tam dojechali z trudem ostatniego razu dwa lata temu, zużywwszy we trzech – trzecim był logistyk Afanasol Benz vel Bęc – litr eteru. Ale bezpłodność tych światów na krańcach świadomości, te przyjemnościowe jedynie przejażdżki w krainę zaktualizowanej nicości i absolutnej,

prawie metafizycznej samotności i niemożność zużycia ich dla swoistej, zamkniętej sfery samokonstruujących się dźwięków, zniechęciły Tengiera do tego zakazanego zresztą procederu. A żona przy tym prała zdrowo po włochatym pysku, gdy zionął z niego na drugi dzień wstrętnym zapachem jałowej trucizny. Tak to z dwóch niewspółmiernych powodów wyrzekł się Tengier ostatniego z narkotyków wyższej marki i został przy starym, dobrym alkoholu – ten działał na twórczość bezpośrednio, był nawet zapładniający, poza kolosalnym ułatwieniem technicznym, doprowadzaniem do zgęstnienia nieuchwytej wizji muzycznej. Nie darmo mówił o Putrycydesie pewien moskiewski hyperkonstruktywista: „*etot Tengier piszet kak choczet*” – nie było takiej wizyjnej kombinacji dźwięków, której by ten zamknięty w małej pastylce metafizyczny wulkan nie rozłożył na zrozumiałe rytmicznie i głosowo symbolizm. Ale i to miało przejść niedługo w sferę niepowrotnych cudów – życiowe nasycenie złamało ten wspaniały talent, rosnący proporcjonalnie do dysproporcji między żądzą, a jej spełnieniem. Księżna miała rację, jak wszystkie „*précieuse'y*” jej epoki.

Genezyp urznął się nagle do utraty zmysłów. Coś mówił z księżną, coś jej obiecywał – działały się rzeczy niewymierne, nawet gdyby mogła istnieć „psychiczna miara Lebesgue'a”, możliwość zróżniczkowania ostatnich, najdrobniejszych wykrzywień psychiki ludzkiej. Świat zdawał się pękać od samonienasyconości ostatecznej. Darły się w strzępy

„kawały duszy”, które roznosił w nieznanne strony płomienny wir alkoholu, zmieszanego z chłopczykowatym mózgiem. W pewnej chwili Zypcio wstał, wyszedł jak automat z pokoju, ubrał się sam i wybiegł z pałacu. Czas był najwyższy. Rzygał strasznie. Za chwilę mroźna zadymka krupowa owionęła go na Krupowej Równi. Ale jeszcze nie zbudził się tego wieczoru – jeszcze nie pojął ostatecznej grozy niepowrotnych chwil.

Ojciec umierał nad ranem. Mógł jeszcze pożyć dwa do trzech dni. Stała się rzecz okropna, tylko nie wiadomo dla kogo, dla jakichś ciotek może: zanim stary umarł, przestał istnieć dla Genezypa kompletnie.

Wiatr wył i gwizdał, okręcając piwowarski pałac lotnymi warkoczami rozwydrzonej „baby-kurniawy”. W ciemno-zielonym gabinecie starego Kapena była tylko pielęgniarka, panna Ela. Genezyp pocałował pulchną łapę umierającego ojca bez najmniejszego wzruszenia.

– Ja wiem, że ty musisz zostać jej kochankiem, Zypciu – wysapał stary. – Ona cię nauczy życia. Widzę to po twoich oczach – możesz nie kłamać. Niech cię Bóg zachowa w swej opiece, bo nikt z żyjących nie wie, co ta gadzina naprawdę myśli. Piętnaście lat temu i ja byłem jedną z jej wielkich miłości, kiedy brylowałem na dworze naszego nieodżałowanego króla. [Miała Polska kilkoletnie królestwo, ale bardzo nieistotne. Jakieś Bragançe, czy coś tam takiego. Wyrzucono to jak śmiecie].

– Panie baronie: spokój – szepnęła Ela sugestywnie.

– Milcz, waćpanna – uosobienie śmierci. Wcielona nicość jest

ta Ela. Wiem, że umrę, ale wesoło idę na ten mostek, bo równie dobrze wiem, że z tej strony nic już nowego mnie nie spotka. Użyłem życia – nie każdy to powiedzieć może. I w ekspansji i w kumulacji – jednym słowem twórczość – ot co. Ten wyskrobek mało mi się udał, ale po śmierci jeszcze go przetrząchnę, na miły Bóg: pekeflejsz z niego zrobię.

Genezyp zmartwiał. Pierwszy raz widział ojca nie jako tego groźnego, bliskiego, kochanego – zaciekle, przez zaciśnięte zęby kochanego starca – tylko jako zupełnie kogoś innego, nieznanego, prawie obojętnego przechodnia – to było najważniejsze. A jednak był dlań w tej chwili o wiele sympatyczniejszy. Teraz mógłby zostać przyjacielem ojca lub znieawidzieć go na wieki, albo obojętnie odejść. Był on dla niego obcym panem, iksem, za które wszystko podstawić można. Patrzył na niego Zypcio z niezmiernej odległości, którą stwarzała nadchodząca śmierć, pierwsza śmierć w życiu.

– Więc papuś mi przebacza i mogę robić co chcę – spytał Zypcio prawie z tkliwością. „Wiedzenie” tego, że ojciec był kiedyś kochankiem księżnej, zbliżyło go do niego, ale jakoś nieładnie i wstydliwie.

– Tak – rzekł stary Kapen i z pewnym wysiłkiem zaśmiał się okrutnie, bestialsko i zielone jego oczki mignęły w fałdach tłuszczu zimnym rozumem i piekielną, nosorożcowatą złośliwością. Potworny starzec z dawno zapomnianego snu: jakieś jałowce, w których w podwieczornym mroku syczał przejmujący wiaterek i zbierał w nich chrust starzec o

niewidzialnej twarzy – tylko brodę można i dozwolonym było widzieć – reszta była nie z tego świata. Wiedział stary, co robi, puszczając syna wolno, ale i on się nawet przerachował. Cała ochota na literackie studia odpadła Genezypowi natychmiast. Stał psychicznie nagi, trzęsący się z zimna, niewyspania, przepicia i pod-erotycznej gorączki. Przyszłość, wielokierunkowa, wichrowata, zawałała mu widok na obecną chwilę, która zmalęła, jakby widziana przez odwrotny koniec lunety, znikła prawie pod ukrytym sensem grozy, zawartej w potencjalnie pożeranych już nadchodzących wypadkach.

– Dowidzenia z ojcem, muszę iść spać – rzekł twardo i niegrzecznie i wyszedł.

– A jednak moja krew – szepnął z zadowoleniem, nieomal że z tryumfem, papa do panny Eli i zapadł w przedśmiertną drzemkę. Niebieskawy świt zatulony w pędzące tumany śniegu wstawał za obłymi wzgórzami ludzimierskiego kraju.

Informacja: Polityczne tło tego wszystkiego było chwilowo zbyt dalekie. Ale coś sunęło z mrocznych gór niewiadomego, jak lodowiec. Małe, śpieszne, nie mające tyle czasu co on lawinki tworzyły się po bokach, ale nikt nie zwracał na nie uwagi. Mężów stanu wszystkich partii, które zatraciły swoją dawną odrębność w ogólnym, **sztucznym**, pseudo-faszystowskim bezideowym *au fond* dobrobycie, ogarnęła nieznana dotąd w kraju szerokość poglądów i beztroska, granicząca już z jakimś zidioceniem na wesoło. Ruchomy mur chiński potężniał i rósł, rzucając

złowrogi, żółtawy cień na całą resztę Azji i na Zachód. Dwa cienie – skąd pochodziło światło, nie wiedział nikt. Nawet Anglicy, rozbici na zbolszewizowane państewka, przekonali się nareszcie, że nie są jednym, jednolitym narodem. W ogóle poza Polską o narodach nikt nie mówił. Ostatnie wyniki antropologii były z tym zresztą w zgodzie.

Kapen myślał niejasno: „Atak sklerotyczny, wylanie się krwi na jakiś tam wzgórek mózgowy – cóż pomoże wyjaśnienie? Jestem innym zupełnie człowiekiem. I gdybym w tym stanie pożył jeszcze dalej, to może bym zsocjalizował fabrykę, to jest: zrobiłbym z niej kooperatywę, a Zypcia puścił na zwykłego robotnika. Sam bym został może jakimś podmajstrzym. A kto wie, czy jeszcze tego nie zrobię – to jest pierwszego – nie ostatniego. Prześpię się i zrobię nowy testament. Nie umrę w tym śnie na pewno!” [Ale jeszcze na ten temat miały mu przyjść inne myśli: ten dziwny jego przyjaciel Kocmołuchowicz, generalny kwatermistrz armii, co się w jego żonie jako pannie (obojętnej teraz jak pniak) kochał – i to jak]. „Złagodniałem psia-krew zupełnie” – marzył dalej. – „Dobrze, że umieram – wstyd byłoby żyć, nie wstydząc się swego upadku. Ale jako umierający mogę sobie jakąś „zdrową sztukę wykinąć”. Zawinał się w całe swoje życie, odbarwione, wyblakłe i dalekie, jak w tę kołdrę we fioletowe kwiaty. Jednocześnie zawinał się w obie te istności i zasnął z odwagą, z wiarą, że jeszcze raz choćby zobaczy ten świat. I z rozkoszą myślał, że jest mu to zupełnie obojętne, czy się obudzi jeszcze jutro i pojutrze.

Genezyp poczuł w sobie złą siłę. Jednak musiał, przynajmniej dotąd, żyć tak, jak mu nakazywał już inny teraz, ale działający z głębin przeszłości automatycznie, jak maszynka jakaś popsuta, ojciec. Działał mimo tej „inności” – to było dziwnym nad wyraz, ale jeszcze nie w tym stopniu jak wszystko, absolutnie wszystko dziwnym było teraz, po tym dzisiejszym przebudzeniu się. Jasność bezimienna rozprzestrzeniała się tak szybko na coraz inne, dalsze krainy ducha, jak światło słońca pędzące za uciekającym cieniem gnanego wiatrem obłoku. I wtem przypomniał sobie, że w stanie maksymalnego opijania tuż przed wyjściem, umówił się z księżną na schadzkę o drugiej w nocy. Przeraził się, że aż tak daleko zabrnął. „Teoretycznie” znał przecie wszystko – to płciowe „wszystko” niewinnego ucznia ósmej klasy, ale nigdy nie spodziewał się, że ta teoretyczna wiedza może z taką łatwością zająć się o rzeczywistość i to w takich wymiarach. Wszystko stanęło nagle jak wryte czy wkopane w ziemię – cała przeszłość była aktualnie tu przed nim jak na patelni, pozbawiona czasu, zastygła. I chwila obecna zakrzepła także w tym gąszczu bez trwania, jak nóż wbity w brzuch wroga. Niby mały strumyczek „szemrało” gdzieś między zwaliskami życie, ale to potęgowało tylko niesamowitą nieruchomość wszystkości. Zdawało się, że cały świat zatrzymał się w biegu, patrząc się w siebie wytrzeszczonymi z przerażenia oczami. „Nic o nic nie zapyta w swym własnym pustym grobie” – tak pisał ten „zabroniony” kolega. I nagle „coś” popuściło i poszło wszystko znowu w szalonym, przez kontrast z poprzednią

nieruchomością, pędzie, jak rzeka gruchocąca lodowe zapory kry. Przepływanie zatrzymanego jakby poprzednio czasu stało się męką nie do zniesienia.

– Nie wytrzymam tego sam – rzeki Genezyp półgłosem. Przypomniał mu się znowu włochaty pysk Tengiera i jego oczy, gdy mówił wczoraj o muzyce. – Ten musi wiedzieć wszystko i on wyjaśni mi, czemu wszystko jest właściwie nie tym, a jednak jednocześnie tak bardzo jest **tym** właśnie – pomyślał i postanowił zaraz iść do Tengiera. Owładnął nim nieprzezwyciężony niepokój i potrzeba ruchu. Zjadł szybko podwieczorek (taki dawny, dziecienny, gdy tu takie rzeczy...) i wyszedł z domu, nieświadomie prawie kierując się w stronę Wielkiego Pagóra, gdzie wśród lasów żył ze swą rodziną Tengier. Znał tego człowieka od wczoraj zaledwie i nie wiadomo czemu on właśnie zdawał mu się najbliższym ze wszystkich nowo poznanych osób, mimo iż nie czuł do niego wcale jakiejś szczególnej sympatii. Wierzył, że on jeden może zrozumieć jego stan obecny i coś mu może poradzi.

Wizyta u Tengiera

Szedł potykając się, zapatrzony w niebo, na którym odprawiało się codzienne (nie każdodziennie oczywiście) misterium gwiazdzistej nocy. Astronomia taka, jaką nauczył się ją pojmować w szkole, nie przedstawiała dla niego wielkiego uroku. Horyzont i azymut, kąty i deklinacje, skomplikowane wyliczenia, precesje i mutacje nudziły go okropnie. Krótki zarys astrofizyki i kosmogonii, zagubiony w nawale innych przedmiotów, był jedyną sferą, wzbudzającą lekki niepokój, graniczący z bardzo pierwotnym wzburzeniem metafizycznym. Ale „niepokój astronomiczny”, tak bliski niekiedy wyższym stanom, wiodącym do filozoficznych rozmyślań, codzienny dzień usuwa w dzisiejszych czasach szybko, jako niepotrzebny nikomu zbytek. Idąc teraz, Genezyp miał wrażenie, że patrzy w nocne niebo po raz pierwszy w życiu. Dotąd było ono dlań, mimo wszelkich wiadomości, dwuwymiarową płaszczyzną, pokrytą mniej lub więcej świecącymi punktami. Mimo poznania teorii, uczuciowo nie wychodził nigdy poza tę prymitywną koncepcję. Teraz przestrzeń dostała nagle trzeciego wymiaru, ukazując różnice odległości i nieskończone perspektywy. Myśl rzucona z szaloną siłą okrążyła dalekie światy, starając się przeniknąć ich sens ostateczny. Wiadomości nabyte, leżące w pamięci jak bezwładna masa, zaczęły teraz wydobywać się na wierzch i grupować koło pytań postawionych w nowej

formie, nie jako zagadnienia umysłu, ale jako krzyk przerażenia wszechtajemnicą, zawartą w nieskończoności czasu i przestrzeni i w tym pozornie prostym fakcie, że wszystko było właśnie takim, a nie innym.

Nad trzema wapiennymi wieżami Troistego Szczytu unosił się jak olbrzymi latawiec Orion, ciągnąc na swym ogonie rozszalałego Syriusza. Czerwona Betageuza i srebrzystobiały Rigel trzymały straż po obu bokach Laski Jakuba, a przestrzeń pruć na ostrzu bledsza od nich Bellatrix. Między Plejadami i Aldebaranem dwie gwiazdy-planety świeciły spokojnym, nierozedrganym światłem: pomarańczowy Mars i ołowiano-sinawy Saturn. Ciemny zrab grani, ciągnącej się od Troistego Szczytu ku północnej baszcie Suchego Zadku, odcinał się wyraźnie niby grzbiet przedpotopowego jaszczura na tle świetlnego pyłu Mlecznej Drogi, zapadającej prostopadle za horyzont. Genezyp patrząc w gwiazdy doznawał zawrotu głowy. Góra i dół przestały istnieć – wisiał w straszliwej przepaści, amorficznej, beżjakościowej. Uświadomił sobie na chwilę aktualną nieskończoność przestrzeni: wszystko to istniało i trwało w tej właśnie sekundzie, którą przeżywał. Wieczność wydała mu się niczym wobec potworności istniejącej w nieskończonostce czasu całej nieskończonej przestrzeni i istniejących w niej światów. Jak tu pojąć tę rzecz? Coś niewyobrażalnego, co narzuca się z absolutną ontologiczną koniecznością. Ta sama tajemnica ukazała mu znowu swą twarz zamaskowaną, ale inaczej. Ogrom świata i on metafizycznie

samotny – (trzeba by tworzyć z kimś jedność) – bez możliwości porozumienia się – (bo czymże są pojęcia wobec straszności bezpośrednio danego!?) – mimo wszystko w poczuciu samotności tej była jakaś bolesna rozkosz. I w tej samej chwili uczył się małym w nieskończonej płataninie wszechświata – nie małym w stosunku do obszarów nocnego nieba, tylko małym w swoich najgłębszych uczuciach: do matki i księżnej.

Genezyp szedł teraz z głową zwieszoną w dół i z rozpaczą słuchał skrzypienia śniegu. Bezplodne chwile padały w przeszłość, pławiąc się w cierpieniu. Zmęczyły go już gwiazdy z ich niemą pogardą i porozumiewawczym mruganiem. Czuł niechęć do wszystkiego, nawet do rozmowy z Tengierem, ale włókł się dalej bezwładem poprzedniego postanowienia. Droga szła w górę przez las świerkowy. Drzewa pokryte okiścią zdawały się wyciągać potworne białe łapy zakończone czarnymi pazurami, odprawiając nad nim jakieś tajemnicze zaklęcia. Przez ciemne gąszcza światło gwiazd przedzierało się chwilami, ostre i niepokojące, jak ostrzegający przed niebezpieczeństwem sygnał. Kiedy na wzgórzu za lasem błysnęły jaskrawo-żółte światła w domu Tengiera, Genezyp przekonał się nagle, że chwila ta jest zwrotnym punktem jego życia, że od tego, jak przeżyje ten wieczór, zależy cały łańcuch dalszych wypadków, w pewnym uniezależnieniu nawet od zewnętrznych możliwych konstelacji. Poczuł dziką siłę możliwości dowolnego kierowania rzeczywistością bez względu na nic – niech się góra na niego zawali – wygrzebie się – tylko nie popuścić tej uciekającej

chwilki. Kontrast pajęczynek poruszających stalowe bloki i wały – kapryśny układ chmurki wieczornej, będący wyrokiem dla istnienia lub śmierci całych narodów (deszcz w wilie bitwy pod Waterloo). Ale wszystko idzie od przypadkowości, od Wielkich Liczb, ku świadomemu kierownictwu i on będzie częścią tego prądu, a nie zdezorganizowanym flakiem, kamiem zaplątanym między zębate koła. „Złudzenia pseudoindywidualizmu, bujającego jak mały złośliwy nowotworek na rosnącym bezwładnie cielsku społeczności, w momencie ostatecznego spęknięcia dziejów” – tak by powiedział logistyk Afanasol Benz.

Genezyp zmierzył się wzrokiem z pałającymi oknami chałupy, jakby z czymś wrogiem, a mimo to drogim i bliskim, co jednak przezwyciężonym być musi, i wszedł do ogromnej sieni, oświetlonej małą dziwną lampką. Palta i futra Tengiera, wiszące na wieszadłach, przejęły go jakąś zabobonną trwogą. Nie wiadomo czemu wydały mu się czymś niezmiernie potężnym i złowrogim, potężniejszym w swej ilości i bezruchu od samego jedyne go ich właściciela. Tajemnicza nieruchomość ubrań tych wyrażała jakby niezliczone możliwości dających się dokonać czynów, podczas gdy Tengier sam zdawał się być tylko chwilą przepływającej osobowości, nikłej, pozbawionej wszelkiej siły i ciągłości.

Posłyszał teraz dopiero dźwięki fortepianu dochodzące z odległego pokoju. Muzyka niewidzialnego człowieka spotęgowała jeszcze wrażenie jego tajemniczej potęgi. Genezyp

wstrząsnął się dreszczem niepokoju i trwogi i uderzył w gong wiszący na drzwiach na lewo od wejścia. (O, jakże wszystko miało być zupełnie innym! – załkały z bezsilnej rozpaczki dobre duszki opiekuńcze, w które nikt nie wierzył). Dźwięki fortepianu rozwiały się w metalicznym przewlekłym grzmocie i po chwili we drzwiach ukazał się Genezypowi, znany mu jakby od niepamiętnych czasów, potworny, włochaty pysk genialnego bydłęcia.

– Proszę – rzekł Tengier groźnym, rozkazującym głosem. Zycio wszedł i owionął go gorzki zapach leśnych ziół. Przeszli dalej. Ogromny pokój, pokryty czarnym puszystym dywanem, oświetlała lampa z różnokolorowym abażurem. W kącie na prawo stała olbrzymia rzeźba, przedstawiająca głowę jakiegoś wielkoluda, do której przyczepiony był mały pokraczny duszek.

– Może przeszkadzam? – spytał onieśmielony Genezyp.

– Właściwie tak – a może i nie. Może lepiej, że przerwałem pewną improwizację. Niedobrze jest bezprawnie prześcignąć samego siebie. Mówiąc otwarcie nie lubię młodych ludzi w pańskim wieku. Nie mogę za nich brać odpowiedzialności wobec pewnych rzeczy, które... – ale mniejsza z tym.

– Ach, tak: mówiliście państwo o tym tego wieczoru. Ale ja nie rozumiem...

– Milczeć! Byłem pijany. A zresztą (– zmiękł nagle i pomniejszył się o nieskończoność w psychicznych wymiarach —) bądź moim przyjacielem. Ja odpowiedzialności żadnej nie biorę – powtórzył uroczyście. – Będę ci mówił „ty”. – Genezyp

skręcał się z niesmaku. Ale czuł, że poza tą chwilą ukrywa się coś, za co warto zapłacić choćby nawet przemijającym wstrętem do samego siebie. – Przy tym nie zapraszałem cię zupełnie – przeciwnie, broniłem się przed tą wizytą – byłeś pijany – nie pamiętasz. – Umilkł, namyślając się jakby nad czymś niezmiernie przykrym, wpatrzony w pogmatwane desenie wschodniego dywanu na ścianie. Genezyp uczuł się dotkniętym.

– W takim razie – zaczął głosem, drżącym od wewnętrznego zranienia.

– W takim razie siadaj. Dostaniesz kawy. – Genezyp usiadł na kanapie pchnięty jakąś niepojętą siłą. – Widocznie miałeś jakiś cel ważny przychodząc tu, jeśli cię nie odwiodła szalona ilość złego fluidu, nagromadzonego wokół mojej osoby. – Wyszedł do sąsiedniego pokoju i słychać było, jak sam krząta się koło maszynki. Po chwili siedzieli już przy stoliku, na którym dymiły się herbaciane filiżanki niezbyt subtelnie pachnącej, ale za to bardzo mocnej i słodkiej kawy. – A więc – spytał Tengier na tle ciszy, przerywanej tylko dalekim, „tęsknym” dźwiękiem dzwonka od sanek. Genezyp przysunął się do Tengiera i wziął go za rękę (tamten drgnął). Po co czynił to? Po co kłamał? Czy to on był właśnie tym, który **tak** postępował? Bez wątplenia nie – a jednak... O – straszna jest komplikacja niektórych osobników. Te warstwy obcych osobowości, te ukryte szufladki, te skrytki o zgubionych kluczach – nie zna ich nikt, nawet sam delikwent... Na tle poprzedniego szczerego stanu metafizycznej ciekawości i nadziei, że Tengier rozwiąże wszystkie wątpliwości

jednym zdaniem, działo się teraz coś życiowo-obrzydliwego, obcego i z niczym niewspółmiernego. A przy tym takie to było wstrętne swojskie, jakby już dawno... **Wszystkiemu winien był Toldzio**, który mu wczoraj z detalami zreferował całą tę historię. Już wtedy ogarnęło Genezypa niezdrowe podniecenie. Ale Toldzio nie był winien teraz, tylko dużo dawniej. I on, ten naiwny chłopczyk postanowił nagle oszukać Tengiera i udać jego ofiarę aż do „ostatniej chwili”, to znaczy do samego momentu gwałtu. Musi zdemaskować przed sobą dziwną potęgę tego człowieka, musi ją osiąść, wchłonąć w siebie, uczynić ją swoją własnością. On – ten ambitny chłopczyk to myślał – nie-do-uwierzenia prawie: on miał żyć czymś kradzionym, on, który chciał wszystko sam wynaleźć od początku, on, który wstydził się uczyć w szkole rzeczy zrobionych przez innych. „O – gdybym mógł całą matematykę napisać od samego początku, wtedy byłbym matematykiem”. Wszystko to zbłysnęło się w jednym zdaniu. Mówił je lekkomyślnie, wesoło prawie, a dla Tengiera była to jedna z najważniejszych możliwości mrocznego tryumfu nad jego własną brzydotą. Kto wie (no kto?), czy te chwile nie były istotniejsze dla jego muzycznej twórczości, niż wszelkie naprawdę przyjemnościowe i upokarzające niedociągnięciem „miłości” normalne. (Zwymiotować można od słowa „miłostka”. – Wiele jest słów w polskim języku, które jedynie w cudzysłowie są „*gebrauchsfähig*”, np. „dziarski”, „junacki”, „swada” „werwa”, „wnikliwy”, „poczynania”, itp. słowa „wstydlive”).

– Nie boję się pana zupełnie. Jestem zupełnie obojętny, ale jeśli pan chce, może pan się nie krępować. Jestem niewinny, tak zwany „prawiczek”, ale wiem wszystko i czuję w sobie fatalną siłę gubienia wszystkich, do których się zbliżę. – (Tengier zapłonął nagle ohydny ogniem – prawie prawdziwy był ten wybuch w stosunku do dawnych udanych). Głupie to było ponad wszelki wyraz, co Zypcio mówił. Ale zadowolony był z siebie, że on, ten nic nie wiedzący świeży maturzysta, może tak demonicznie błagować i oszukiwać tego wszechwiedzącego jakby się zdawało garbusa. Czy to nie było już działaniem gałek z błękitnej emalii, w które wpatrywał się zbyt może długo wczoraj. Sam o tym jeszcze nie wiedział.

Tengier chcąc zbadać koeficjent „obrzydliwości” swego nowego przyjaciela – („wstrętliwości”, „ohydliwości”, – nie ma na to wyrazu, ani odpowiedniej transformacji końcówki) – po prostu chcąc sprawdzić, jak łatwo jest obrzydzić Genezypowi siebie i swoje machinacje, pocałował go nagle w usta swymi szerokimi, pachnącymi (raczej niepachnącymi) surowym mięsem, czy zwierzęcym pyskiem, ustami. O, jakież to było obrzydliwe! Uciekać, nic nie udawać, nie znać jego, ach – móc nie znać nawet tamtej kobiety – och, móc zwymiotować wszystko i kochać jakąś małą, biedną, swojską panienkę. I nagle jedna zimna myśl i zobiektywizowane obrzydzenie, unieszkodliwione, jak żmija z wydartymi zębami, „stało” już daleko, niby ból złamanej nogi po morfinie. „Dla poznania tych tajemnic warto coś przecierpieć”, pomyślało w nim obce

stworzenie bez serca, sumienia i honoru. Odtąd hodował w sobie stale tego potworka i pisał dziennik – (był to ten dziennik, który wydał Dr. Wuchert w r. 1997 pt. *Zapiski schizofrenika* i stał się przez to sławnym. Posądzano go o autorstwo.), będący właśnie opisem jego (tego potworka) przeżyć. Genezyp zamarł, poddając się biernie pierwszemu pocałunkowi w usta. Tengier mlaskał dalej, ale nie znajdując oporu przestał nagle – to nie podniecało jego ambicji.

– Niech pan... to jest: przebacz Zypciu. Ten wybuch ma inne jeszcze znaczenie. Miałem brata, którego bardzo kochałem. Umarł na to samo choróbsko, – [Czemu tak powiedział? Było w tym jakieś kłamstwo.] – które ja przewyciężyłem. *Osteomyolitis scrofulosa*. Ale jestem kaleką. Ale zawsze marzy mi się koniec wspaniały, w którym użyję za wszystkie czasy. Ale miłości właściwie nie znałem i nie poznam chyba nigdy. Ale ty tego nie rozumiesz. Ale czy wiesz, co to znaczy. —

Wstręt dusił Genezypa tak, jakby zawałało się na niego nigdy nie myte, śmierdzące, spocone cielsko wielkości tego całego domu. Jeszcze wstrętniejsze zdawały mu się słowa Tengiera, niż ten ohydny pocałunek. A jednak poczuł dla niego współczucie, większe daleko niż dla umierającego ojca. Wziął go za ramię i uściskał.

– Niech pan powie mi zaraz wszystko od początku. Przecież pan jest żonaty. Mówiła mi wtedy księżna, że żona pana jest piękna.

– To nie jest żadne małżeństwo. To jest jedna wielka

zbrodnia z torturami. Ja nawet mam dzieci. Moja choroba nie jest dziedziczna w trzecim pokoleniu. Adolf Tengier będzie zdrowym człowiekiem i użyje życia za ojca, a nawet za stryja. Ninon będzie dobrą matką, bo moja żona jest też dobra. I to właśnie... – Nagle zaczął łkać gwałtownie, a Genezypowi oczy wyszły na łeb ze wstydu i litość – obrzydliwa jak rozdeptany karaluch, zatargała okrutnie, bezlitośnie właśnie, jego wnętrznościami.

– Niech pan nie płacze... Jeszcze wszystko będzie dobrze. Ja przyszedłem dziś do pana dlatego, żeby mi pan rozwiązał wszystkie zagadki. Pan musi to wiedzieć, bo pana muzyka jest wszechwiedząca. Ale ja muszę to wiedzieć w pojęciach, a to całkiem co innego. Ale pan i to potrafi, bo pan wtedy już mówił coś takiego, co przekracza to, że wszystko jest takie, a nie inne. Ja nie umiem tego wyrazić. – (Chlipanie Tengiera cichło powoli) – Wczorajszy wieczór, choroba ojca – no, to może najmniej – i dzisiejsze przebudzenie się z popołudniowego snu przekreśliło mnie zupełnie. Nic nie rozumiem, bo wszystko, co dotąd wydawało mi się najzwyklejsze w świecie, stało się nad jakąś przepaścią i tak trwa, nie mogąc się w nią stoczyć. Tam nie ma nic prócz czystej tajemnicy samej w sobie. Ale ja nigdy nie myślałem tak, aby móc to ująć, więc... —

– Chwila objawienia, albo, jak się to teraz mówi, początki bzik – rzekł Tengier, wycierając oczy. – Miałem ci ja takie chwile, miałem – (ach to „ci” – Genezyp wił się) – Ale coraz mniej ich jest z biegiem czasu. Bo zanim zrozumiem, o co idzie

to: fajt! – i już wszystko zamienia się w dźwięki – nie same, tylko ich budowę, przerastającą mnie i wielu innych zresztą. Tylko dlatego nie wariuję. Ja mam poczucie tego, kim jestem, ale jeśli mnie nikt nigdy nie zrozumie – ani nawet po śmierci – czy będzie to dowodem, że jestem muzycznym grafomanem, ulegającym złudzeniu, że kimś był i jest – bo do cholery ja za dużo **wiem**, aby mieć takie złudzenia – czy też dowodem na to, że muzyka się skończyła i ja jestem tym przeklętym wybranym przez los, jak Judasz wybrany był na zdrajcę, żeby właśnie we mnie to się dokonało do końca. – [Genezyp miał bezwzględne poczucie tego, że życie, które zakrzepłe w monotonii, dotąd jakby wcale nie trwało, wpadło na nowy tor, jakąś równię pochyłą i że teraz zacznie się to przyśpieszenie, którego oczekiwał i pożywał. Już migały się okoliczne znane stany ducha, zostając w przeszłości, jak widoki rodzinnych stron w oknach coraz szybciej pędzącego pociągu, unoszącego go w dalekie, niezbadane kraje]. Tengier mówił dalej: – I tak być musi w ogóle. Przyjmuję transcendentalność tego prawa, jego absolutną konieczność – tego prawa – powtórzył, – że jeśli gdzie jest sztuka, w jakimkolwiek świecie, to musi przebiec tę linię rozwoju form, co u nas, musi być związana z religią i metafizyką, które są taką samą koniecznością istot myślących, jak i ona. Ale tylko w czasie właściwym. A potem musi zginąć, zjedzona przez to, co ją stworzyło, przez społeczną miazgę, która, krystalizując się w doskonałe formy, wyprzeć musi z siebie wszystko, co jej w tym procesie przeszkadza. Ale czemu ja

właśnie jestem tym przeklętym? Jakkolwiek – tak – poczucie prawdziwej konieczności swojej indywidualności, tej a nie innej właśnie – nie każdy to ma – to wielki zbytek. – Ha – mam tę wyższość nad innymi, że się nie ugnę – choćbym nawet chciał, coś mi nie pozwoli – jakaś siła ponad mnie wyższa. ambicja, ale nie w stosunku do świata: do nieskończoności... – Oczy błysnęły mu siłą sięgającą zdawało się aż w sam pępek wszechświata i nagle ta słaba pozornie, włochata pokraka wydała się Genezypowi jakimś potężnym bożkiem (nie bogiem) od jakiejś specjalnej funkcji czy zjawiska – na całe istnienie mogło być 40–50 takich, odpowiadających jakimś ważnym istnościami: muzyce, innym sztukom, wiatrom, w ogóle żywiołom, pogodzie, klęskom... A jednocześnie pomyślał: „On jest koniecznością dla siebie, tylko dlatego, że jest artystą. On nigdy mnie nie zrozumie i tego mi nie wytłumaczy, dlaczego dla mnie dziwną do bezmiaru jest właśnie ta moja takość, a nie inność”. I nagle wstrząsnęła nim wątpliwość: „I o cóż to chodzi? O te jakieś brzdąki nikomu w gruncie rzeczy niepotrzebne? Nie – to jest lekka przesada! Ani to nie jest takie ważne, ani wspaniałe. Pozorne głębie w nieokreśloności. Nie – ja wolę myśl – ale jaką? Swojej nie mam nawet jeszcze w załączku. Co myśleć?! Boże!! Nie natrafić na złudną drogę, na której można się tylko okłamywać do końca życia. Objawienie – ale któż zaręczy, że to, które napotykam, czy które na mnie spada, właśnie jest prawdziwe?” Poczul, że tylko wytężenie się do krańców możliwości, ofiara siebie, askeza bezwzględna, wyrzeczenie się tego właśnie, co go

dziś nieodwołalnie czekało i tak piekielnie nęciło złą rozkoszą (zdawało się to nie wiadomo jakim sposobem zaprzeczeniem spuszczenia psa z łańcucha), może mu otworzyć tamten świat. Ha, to było ponad siły. W tej chwili zrezygnował z poznania na całe życie. Są natury, które nie mogą żyć w rozpuszczeniu i jednocześnie dostępować szczęścia poznania najwyższych prawd – trzeba wybierać. O, błogosławieni ci szczęśliwcy, którzy niszcząc się, tworzą się najistotniej i w ten sposób zdobywają swoją doskonałość na ziemi. Co tam z ich duchami się dzieje, to lepiej o tym nie myśleć, ale tu są doskonali, nawet w złem. Naprawdę dzień ten był zwrotnym – Ale **czyj** dzień? Czy warto zajmować się przypadkowym pyłkiem w otchłani niewiadomego, pyłkiem takim, a nie innym, wśród **alef** w granicy innych pyłków? [Alef = pierwsza ponadskończona liczba Cantora]. [Istnień poszczególnych (i to w **granicy**) może być w całym nieskończonym istnieniu tylko alef a broń Boże nie *continuum*. Czemu tak jest, udowodnić tu się nie da]. Istnienie pyłka tego nie da się wyrazić w ogólnym prawie, w którym za zmienne dałyby się podstawić dowolnie wysokie w hierarchii istnień poszczególnych wartości. Jak to mówił Husserl? (Słowa jego powtarzał na lekcji matematyki gimnazjalny profesor: „Jeśli jest Bóg, to jego logika i matematyka nie może różnić się od naszej”). O takie rzeczy by chodziło, a nie o to, jak się tam czuje jakiś bałwan, czy nawet pseudo-inteligent, a nawet (o blasfemio!) geniusz! O **prawa** chodzi, a nie o ten tam lub inny wypadek. Tak się kłębiło w Genezypowym łebku. Błagalnie

mówił do Tengiera: (od takich chwil, od jednego słowa w porę zależy czasem całe życie, a ludzie nic nie wiedzą i wdeptują jeden drugiego (czasem w imię ideałów) w bagno rzeczywistości wykoszlawianej, zdeformowanej przez fałszywie zarzucone na nią siatki pojęć. Rzeczywistość puszcza sok najistotniejszy pod wpływem pojęć. Ale od ich gatunku zależy, czy będzie to trucizna, czy też najpożywniejsza witamina).

– Panie Putrycy – (tak nazywano dla skrócenia Putrycydesa Tengiera) – Ja nie wiem, kim będę jutro. Wszystko mi się przekręciło i to nie o jakiś kąt na tej samej płaszczyźnie, tylko w innej przestrzeni. To za wysokie jak na mnie koncepcje – (powiedział to z goryczą i ironią) – ja nie wierzę w taką ważność sztuki, w jaką wierzy pan. Koncepcje pana są wyższe od tego, do czego się odnoszą – wyższe same w sobie, jako myśl – bo pan przesadził wartość ich realnego podkładu. Ja lubię literaturę, bo dla mnie tam jest więcej życia, niż w moim własnym. Jest ono tam w takiej kondensacji, w jakiej nie znajdę go w rzeczywistości nigdy. Za cenę zgęszczenia płaci się nierealnością. – (Tengier śmiał się szeroko. „Ten wie, jaka jest różnica między złudą a realnym życiem – cha, cha! On cały jest jeszcze jednym wielkim złudzeniem. Mogę nie mieć wyrzutów”). – Ale mnie chodzi o **to** życie. Żeby ono było jedyne w swoim rodzaju, a konieczne jednocześnie w swojej inności, taki wzór, taki ideał doskonałości, nawet w tym, co jest lub może być złem – więcej nawet: w tym, co jest nieudane, żeby była doskonałość. To szczyt życia... – (wpatrzył się na sucho gorączkowo przed siebie) – A

tu się wszystko zmienia tak okropnie, tak dziwacznie – że ja już nie wiem, czy to ja jestem, czy ktoś inny. Ta sprzeczność zmiany i stałości...

– Zapamiętaj sobie raz na zawsze, że tylko dlatego mamy wątpliwości co do ciągłości naszej jaźni, że jest ona właśnie ciągła. Pytanie takie byłoby niemożliwym bez tego. Jest ona, ta jedność osobowości dana w swej ciągłości bezpośrednio – a wątpliwości nasze mają źródło tylko w różnorodności zbyt wielkiej kompleksów częściowych. Nawet u tych, co cierpią na rozdwojenie osobowości, kawałki trwania muszą być ciągłe – nie ma trwać nieskończenie krótkich...

– Ja rozumiem intuicyjnie, co pan mówi. Ale to są już dalsze myśli. Ja nie mam ogólnej podstawy. Ja kochałem ojca i bałem się go. On umiera, a mnie to teraz nic nie obchodzi. – (Tengier przyjrzał mu się uważnie, ale było w tym spojrzeniu coś z patrzenia w lusterko) – Mnie jest tak źle, jak nigdy, a przy tym zupełnie bez powodu – jakbym poczuł, że wszystko, ale to wszystko na całym świecie jest nie takim, jak być powinno. Jest przede wszystkim zawinięte w jakąś powłokę – nawet astronomia. A ja chcę dotykać wszystkiego gołego, jak dotykam mojej własnej twarzy moją własną ręką... Ja chcę wszystko zmienić, aby było takim, jak być powinno. Ja chcę to wszystko mieć, dusić, cisnąć, wygniatać, męczyć...!!! – krzyknął histerycznie, prawie z płaczem Genezyp, nie poznając samego siebie w tym, co mówił. W miarę formułowania nieważna dotąd myśl stawała się jedyną rzeczywistością.

Informacja: Tengier milczał, uśmiechając się zjadliwie. To samo czuł on prawie stale. Tylko, że on zamieniał (**musiał** i umiał zamieniać) właśnie **to** (to metafizyczne nienasycenie) na dźwięki, raczej na ich konstrukcje, zjawiające mu się z początku w postaci nieokreślonych **przestrzennych** potencjałów w całości i rozkładające się potem jak złożone wachlarze na następstwa w czasie, już obarczone, jak gałązki gronami jagód, straszliwymi dysharmoniami, których nikt rozumieć, a nawet słuchać nie chciał. Nie wyrzekł się dotąd tematyczności w dawnym znaczeniu, ale chwiał się już nad otchłanią jakiejś, jeszcze dla niego potencjalnie zrozumiałej, ale niewykonalnej prawie w żadnej instrumentacji, magmie muzycznych zawłości, graniczących z zupełnym chaosem i czysto-muzycznym (**nie uczuciowym**) nonsensem. Uczucia zwykle jako takie i ich wyraz – to nie istniało dla niego zupełnie. Dawne to były czasy, gdy tego rodzaju określone stany, dające się nawet ogólnie słowami wyrazić, stanowiły podstawę, na której wyrosły, jak proste, skromne kwiatki, pierwsze jego muzyczne pomysły. Tak – były one proste w stosunku do jego ostatnich utworów, ale nie w porównaniu ze Strawińskim, Szymanowskim i innymi wielkościami minionej epoki. Już w ich prostocie tkwił potencjalnie ten wir kłębiący się na granicy wyrażanego, z którym zmagął się teraz aktualnie, doprowadziwszy mistrzostwo rozkładania bezpośrednio zjawiających się dźwiękowych kompleksów w czasie do niedosiężnych rozmiarów. Za to był tak nienawidzony i bojkotowany. Zawzięła się nań cała współczesna krajowa muzyka. Nie

dopuszczano go do koncertów, zniechęcano wmawianymi trudnościami wirtuozów do wykonywania jego utworów, uniemożliwiano mu w sposób oficjalny porozumienie się z bolszewicką zagranicą, gdzie jeszcze mógłby za życia znaleźć uznanie. Pozbawiony jedyne go środka działania, to jest pieniędzy, był bezsilny, a nawet po krótkiej walce przestał zajmować się tym problemem. „Siedział”, jak mówiono tu w Ludzimierzu, w dużej chałupie, postawionej na gruncie żony, mając tyle tylko, aby nie potrzebować zarabiać na życie – to była jeszcze jedyna pociecha, bo wobec opinii, jaką miał jako muzyk (mimo olbrzymiej wiedzy, uznanej nawet przez wrogów), na lekcje liczyć nie mógł, a wskutek długości palców bardzo był miernym pianistą. Chyba grać w coraz rzadszych zresztą jazz-bandach. Ale z tym nie mógł się jeszcze pogodzić. Od tej muzyki uciekał jak od zarazy, a zresztą za stary był na takie walenie. I to go najbardziej wściekało, że miał specjalny poboczny talencik w kierunku takich właśnie kompozycji. Cała jedna teczka pełna była tego draństwa. Ale na zużycie go w celach zarobkowych nie miał odwagi. Zresztą jazz-band konał – ludzie oduczuli się już prawie od zabawy. Tańczyły tylko ostatnie niedobitki kretyków w dawnym stylu.

Straszliwym problemem Tengiera było tak „naukowo” zwane „życie płciowe”. Autochtońska dziewczynka, córka bogatego gazdy, którą zdobył przy pomocy sztucznie uprymitywnionej w tym celu muzyki (Tengier był też niezłym skrzypkiem, ale budowa jego i tu nie pozwoliła mu osiągnąć doskonałości.) i swego „ceperstwa” (ceper

= człowiek z dolin, pan – był synem organisty z Brzozowa!) była jedyną jego w tej sferze podporą, tłem, na którym dopiero mógłby, gdyby miał inne warunki, rozwijać swoje uwodzicielskie niedopędy. Ale nędzą tych przeżyć była wprost potworna. Zwabione i trochę podwściezione muzyką kobiety oddawały mu się czasami raczej z perwersyjnego wstydu niż z pożądania. A następnie upokorzone jego wyglądem (suchą nogą, garbem i w dodatku zapachem grzyba, który wydzielał w podnieceniu) uciekały od niego ze wstrętem, zostawiając go na pastwę nienasyconych żądz. Takim też był jego „romans” z księżną. Mało nie dostał ostrego szału. Długi czas był nienormalny i dokonywał w tej epoce rzeczy straszliwych: jakieś kombinacje fotografii, ukradzionych pończoch i pantofelków – brrrr... ale się wyleczył. Ostatecznie wracał zawsze do żony, która, nauczona przez niego sztuk niezmiernie wyrafinowanych, była najlepszym lekarstwem na nieudane, zakazane przez kalectwo, wyprawy w sfery niedosiężnej, prawdziwie „pańskiej” miłości. „A bodaj to – jak pech, to już zupełny” – mawiał Tengier i zanurzał się ze zdwojoną furią w swój świat potworniejącej z dnia na dzień muzyki. Piętrzyły się stosy „dzieł pośmiertnych” (wydane miał tylko młodzieńcze preludia, poświęcone pamięci Szymanowskiego), żer dla przyszłych pianistów, w czasach kiedy już żadnych nowości miało nie być, kiedy muzyka, zjedzona od środka własnym nienasyceniem i komplikacją, miała według Tengiera „nogi wyciągnąć na fest” – takie chamskie wyrażenie – trudno, tak mówił on, brzozowianin, mąż bogatej dziwki Maryny z sąsiedniego Murzasichla.

Tam to poznał ją, błędząc po zamarzłych jesienią bagniskach – a „sichle” znaczy bagniste – (przyjechał leczyć tu swe garby w ludzimierskiej „siarkance”). Spotkał ją późno wieczór (zawinięty w pelerynę – garbu nie było widać) – i uwiódł na miejscu, zagrawszy jej na skrzypcach jedno z młodzieńczych preludium. Wracał z jakiegoś wesela, od rana już trochę pijany. Maryna była **piekielnie** muzykalna. Zapomniała (potem nawet) o garbie i suchej nóżce, a na zapach grzyba nie reagowała wcale – znała gorsze: krów, kóz, baranów, kozuchów, kapusty i ogólnej chłopskiej śmierdziączki. Ta **piekielna** muzyka Putrycego zastępowała jej miłość ładnych chłopców, a do tego te sztuczki „ceperskie”, których nijak zrozumieć nie mogła i pragnęła jeszcze i jeszcze. Gdzie by to który Jasio albo Wojtek chciał z nią takie cuda wyrabiać, tak się upokorzyć, tak fetyszystycznie, niezdrowo. Aż ją rozpiekała duma, na równi z kapustą i „moskałami”. A do tego jeszcze stała się „panią” – i tam, gdzie uznawano muzykę męża „bywała” jako te inne chłopskie żony krajowych artystów. W ogóle kraj pod pewnymi względami zastygł w stanie, w którym znajdował się przed antybolszewicką krucjatą. Zgalaretowały się polityczne świństwa; galareta, podlana teraz „bolszewickimi” pieniędzmi zagranicy, stanęła mocno i tak trwało wszystko niby zupełnie po faszystowsko-fordowsku, a w gruncie rzeczy po dawnemu, gdy wokół wschodniej granicy rozszalała się niebywała dotąd awantura. „Żółte niebezpieczeństwo” (kto wie, czy nie największe właśnie bezpieczeństwo na tej naszej nudnej gałce) przeszło ze sfery pogardzanych

mitów do krwawej, codziennej, do tej „nie-do-uwierzenia” rzeczywistości. Nic nie mogło zachwiać naszego kraju w jego heroicznej obronie idei narodowości w dawnym, przed-historycznym nieomal, to jest XIX-wiecznym stylu, przed zalewem piątej czy szóstej (najstarsi ludzie nie pamiętali) międzynarodówki. A syndykalizm, czy robotniczy, sorelowski, czy amerykańsko-faszystowsko-inteligencki, to wcale nie taka łatwa sztuka do przeprowadzenia. Ileż to czasu upłynęło od tych czasów! Polska jak zawsze była „odkupicielką”, „przedmurzem”, „ostoją” – na tym przecie od wieków polegała jej historyczna misja. Sama dla siebie była niczym – poświęcając się dla innych (zbyt głęboko wpojona była wszystkim ta ideologia), dopiero zaczynała istnieć naprawdę sama dla siebie. Mimo to pewnym ludziom wcale nieźle się działo – (trudno – bo czyż zupełny trup może się dla kogoś poświęcić i czy to będzie w ogóle pożyteczne?) – a klasy niższe, zanarkotyzowane „*swoje-obraznym faszizmom na pseudo-syndikalisticznom fonie*

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.